Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 21 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 23 V 1948 r. ROK III

„STALOWE SERCA"

Bezpośrednio po „Ostatnim Etapie", który od kilku tygodni ściągał licznych widzów, wstrząsając nimi do głębi — na ekran kin w Polsce wszedł czwarty polski film pełnometrażowy po wojnie pod mocnym tytułem „Stalowe serca".

Jest to opowieść o nieugiętej postawie bojowej śląskiego robotnika w walce z Niemcami. Dobrze się stało, że sięgając znów do tematyki okupacyjnej pokazano nie tak jak w „Ostatnim Etapie" wycinek wstrząsającej martyrologii narodu polskiego za drutami obozu oświęcimskiego, lecz zorganizowany w śląskiej kopalni i walcowni żelaza, ruch oporu, który był przecież wspaniałym wyrazem nie tylko niezłomnego hartu ducha, lecz zarazem woli walki z wyrafinowanym wrogiem. Wróg ten pod hasłem „Arbeit macht frei" — katował i wyzyskiwał miliony ujarzmionych ludzi, którym narzucił siłą niewolnictwo pracy dla realizowania swych światoburczych planów.

Nie dotarł jeszcze od dwóch lat do Poznania — mimo sygnalizowania go w Polsce — wspaniały obraz filmowy o ruchu oporu kolejarza francuskiego pt. „Bitwa o szyny", widzieliśmy natomiast obok kilku obrazów angielskich i amerykańskich oraz wielu radzieckich z tej kategorii filmów — dwa mocne filmy produkcji czeskiej: „Ludzi bez skrzydeł" i „Syrenę", między którymi można by postawić ostatni film polski „Stalowe serca". Podczas gdy nie dorównuje on w ogólnym wyrazie kompozycyjno-artystycznym pierwszemu, prawdą wielu scen zdaje się być nam bliższy niż „Syrena". Autor „Listów spod morwy" — Gustaw Morcinek jako kier. literacki dostarczył tworzywa literackiego do scenariusza St. Januszewskiemu, w którego rękach spoczywała zarazem realizacja i montaż filmu.

Widzieliśmy doskonałe eposy filmowe opiewające blaski i nędze życia górnika w „Ludziach i myszach" i przede wszystkim we wzruszającej „Zielonej dolinie", były to jednak filmy rzucone nie na ekran wojny.

Również nasz Śląsk — ta ziemia odwiecznej walki z germańskim naporem — mimo długiego oderwania od Macierzy potrafiła zachować wiarę, język i obyczaje polskie, co domagało się już od dawna utrwalenia i dobrego opracowania na taśmie filmowej, jako jedyny w swoim rodzaju niespotykany fakt w dziejach ludzkość godny artystycznego obrazu. „Śląsk zawsze wierny Ojczyźnie" — oto temat, który w mrokach okupacji dojrzał do realizacji filmowej, osiągając uprzednio ciekawe opracowania literackie. Czy udało się to osiągnąć w pełni w „Stalowych sercach?"...

Na terenie kopalni śląskiej tworzy się tajna organizacja polska z inż. Karolem i robotnikiem Pawłem na czele. Zadaniem organizacji jest sabotowanie pracy i częściowe unieruchomienie kopalni i walcowni żelaza. W akcji tej pomaga młoda studentka medycyny — Danka, pracująca w ambulatorium fabrycznym i posługaczka Gustlikowa, która z narażeniem życia przenosi materiał wybuchowy — oto główne zarysy akcji filmu, która zostaje doprowadzona do momentu realizacji planu inż. Karola. Niemcy biorą odwet za sabotaż, dokonując publicznej egzekucji (mocna scena filmu), nadchodzą jednak pierwsze wiadomości o zwycięskiej ofensywie wschodniej, która ma przynieść upragnioną wolność. Robotnicy opanowują kopalnię, lecz Niemcom udaję się wzniecić pożar w jednym z podziemnych korytarzy. Dzięki poświęceniu Pawła — kopalnia zostaje uratowana. Przed oczyma bohaterskiego, umierającego robotnika staje wizja nowej Polski.

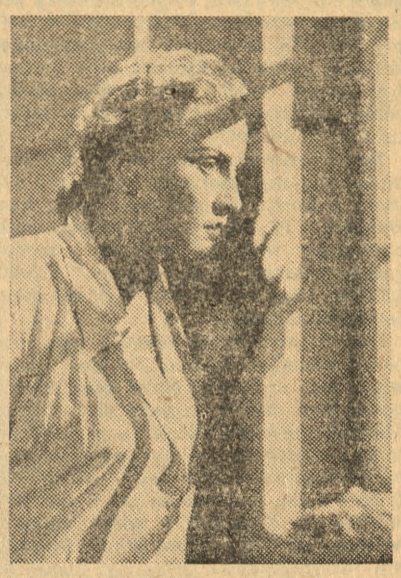

Młoda aktorka łódzka, Irena Laskowska, odtwarza główną rolę w nowym filmie polskim „Stalowe serca".

Scena ta stanowi udały akord finałowy „Stalowych serc", odbiegający ogólnym pogodnym nastrojem od ponurej atmosfery filmu. Na podkreślenie zasługują doskonałe w odczuciu klimatu kopalni i w kompozycji artystycznej zdjęcia Adolfa Forberta oraz nastrojowa, dobrze zsynchronizowana ilustracja muzyczna Mieczysława Mierzejewskiego. Również dźwięk tym razem wypadł lepiej. Ale są to bodaj jedyne jasne strony tego filmu.

Poza mocną w napięciu sceną likwidacji konfidenta, zażartą walką zdemaskowanego Pawła z gestapowcem u progu podminowanej już walcowni, oraz poza dowcipnym chwytem zatrzaśnięcia drzwi do schronu z napisem „Nur für Deutsche", w którym zamknięto rozbrojonych gestapowców — całość scenariusza jest dość pogmatwana, poszczególne wątki akcji luźno ze sobą powiązane a dialogi sztuczne i jałowe.

Znany Poznaniowi ze sztuki „Ziemia Oskarża" świetny w głównej roli Mieczysław Serwiński nie znajduje właściwego pola do popisu swego talentu aktorskiego (razi polski język w ustach gestapowca, co w „Ostatnim etapie" nadawało w pozostawieniu wielejęzyczności bohaterow — tyle dokumentalnej naturalności), Wł. Hańcza jako inż. Karol przeprowadził swą rolę w typie konsekwentnie, rownież dobrą była w epizodycznej roli Gustlikowej — H. Buczyńska.

Zdjęcia ze sztolni kopalni i z walcowni żelaza bardzo dobre, niestety nie dość mocno zespolone logicznie i artystycznie z akcją filmu. Pod tym względem jeszcze zbyt małą wysnuliśmy naukę z obrazów zagranicznych, gdzie scenariusz z reżyserią łączy się w jedną harmonijną całość, ukazując właściwe oblicze ruchu oporu na tle warsztatów pracy, jak to miało miejsce w filmach czeskich („Ludzie bez skrzydeł") i francuskich („Bitwa o szyny").

Okazuje się, że „Ostatni etap" nie był ostatnim etapem nieporozumień „Filmu Polskiego" — mimo szczerych intencyj społecznych zawartych w „Stalowych sercach". Znalezienie właściwych środków wyrazu — w tak odrębnej w gatunku sztuce, jaką jest film nie jest rzeczą łatwą i obok warunków technicznych wymaga jeszcze całej kadry odpowiednio wykwalifikowanych fachowców współpracujących ze sobą na każdym polu harmonijnie. Dobry scenariusz zaś — obok umiejętnej reżyserii — jest kluczem do powodzenia całego obrazu.

Mamy w „Stalowych sercach" dobry materiał, o czym świadczą niektóre kapitalne epizody, nie umiano sobie jednak z nim poradzić i gdy się zdawało, że jakaś akcja zawiązuje się w filmie — nagle znikała, rwała się i pękała w karkołomnych reportażowych skrótach. Niejedno opowiadanie lub książka Gustawa Morcinka więcej dała nam przeżyć i ukazała prawdy o czarnym Śląsku niż nakręcony pod jego niezbyt pomyślnymi auspicjami — film.

Teodor Śmiełowski

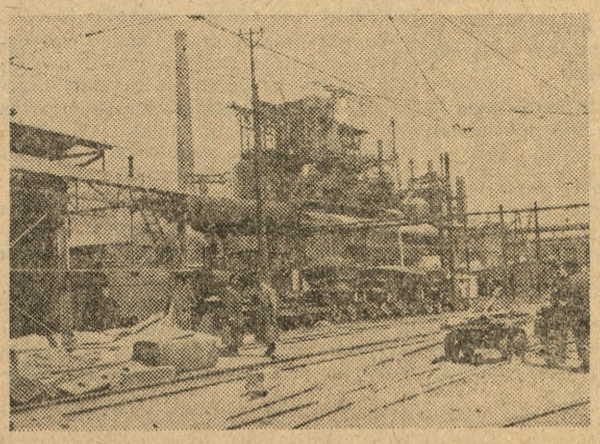

Piękne zdjęcie terenów kopalni węgla i walcowni żelaza na Śląsku, gdzie skupia się akcja filmu „Stalowe serca", mówiącego o stalowym harcie polskiego robotnika pod żelaznym terrorem hitlerowskim. Piękna fotografia jest jednym z najlepszych walorów tego filmu, dzięki mistrzowskiemu operowaniu kamerą przez Adolfa Forberta i Zygmunta Króla.

Jerzy Wojsym Antoniewicz
por. artylerii

Monte Cassino

(Wspomnienia z linii ogniowej)

18 maja minęła czwarta rocznica pamiętnej bitwy w historii kampanii włoskiej ostatniej wojny pod Monte Cassino, w której oddziały polskie okryły się nieśmiertelną chwałą, zatykając zwycięski biało-czerwony sztandar na murach benedyktyńskiego klasztoru.

Pod Monte Cassino raz jeszcze w historii naszego narodu święcił triumfy polityczny romantyzm. Umiłowaliśmy śmierć na polu walki, sądząc, że tylko ona zaważy na szali argumentów, gdy przyjdzie czas zasiąść przy okrągłym stole konferencji pokojowej. Trzeba było dopiero spojrzenia w przepaść, byśmy oduczyli się ginąć dla pięknych słów i cesarza zdejmującego kapelusz przed polskim regimentem. Otrzymaliśmy potworną lekcję praktycznego rozsądku i potrafiliśmy ją zrozumieć.

Poniżej zamieszczamy garść wspomnień b. uczestnika walk tych w szeregach II Grupy Artylerii Polskiej w generalnym szturmie na Monte Cassino.

Kończył się dwutygodniowy odpoczynek!

Mieliśmy wyruszyć na nowy odcinek frontu i to pod słynne Cassino, gdzie od trzech miesięcy toczyły się zacięte walki. Nieustanny huk dział, dochodzący z tej strony, potwierdzał zażartość walk. Bateria nasza, a raczej ściśle mówiąc — linia ogniowa — wyruszyła z miejsca postoju w nocy z 26 na 27 kwietnia 1944 r. Minęliśmy jeszcze przed zmrokiem miasteczko Venafro. Tam ruch wielki. Spotkało się kilka kolumn, przeważnie artyleria, i kierunek ten sam: Cassino...

Zmrok zapadł, nastały egipskie ciemności. Trzeba dobrze wytężać wzrok, aby nie zjechać w bok do rowu lub do przepaści, gdyż droga była pod obstrzałem nieprzyjaciela, ale szczęśliwie minęliśmy to. Jeden z ciągników zjechał przez nieuwagę trochę w bok i znalazł się w rowie. Ani myśleć w nocy o jakiejkolwiek pomocy. Należy zawiadomić najbliższy Posterunek Ratowniczy i czekać do rana. Dalszą drogę do stanowisk odbyliśmy trzema działami. Trzeba z uznaniem podkreślić wielki wysiłek kierowców, którzy dali z siebie maksimum.

Do rejonu stanowisk zbliżyliśmy się, gdy już świtało. Po drodze mieliśmy wiele przeszkód w postaci zatorów utworzonych z pojedynczych wozów. I najgorsze to wyczekiwanie, aż droga znowu będzie wolna.

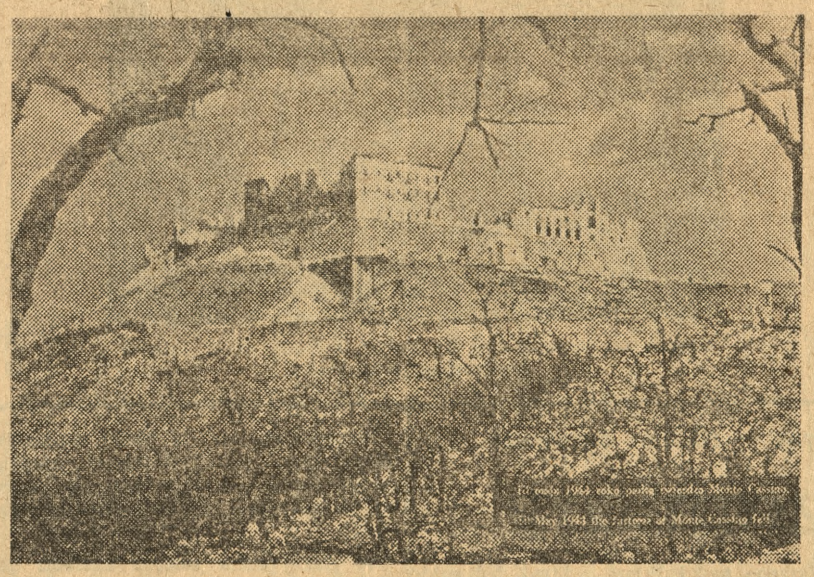

18 maja 1944 r. załopotał zwycięski sztandar polski na gruzach twierdzy Monte Cassino. Na stokach jej zasnęło snem wiecznym tysiące towarzyszy broni, którzy „Bogu oddali dusze — ciało ziemi włoskiej — a serce Polsce".

Szybko zajechaliśmy na wyznaczone stanowiska. Raz — dwa działa ustawiono na dozór, a w niespełna godzinę po przybyciu już strzelamy. To punkt obserwacyjny alarmuje nas. Działobitnie znaleźliśmy gotowe po naszych poprzednikach, jak również i schrony mieszkalne. Dzień wytężonej pracy i wszystko jest umocnione i zabezpieczone przed ogniem nieprzyjaciela. A na ogień ten nieprzyjaciel nie dał długo czekać... Wszak przed nami wznosi się groźnie klasztor Monte Cassino, który ma doskonały wgląd w naszą dolinkę, a specjalnie pierwsze działo jest widoczne.

W pierwszy ten dzień padają strzały na drogę za baterią. Jest to codzienna porcja nieprzyjaciela, którą regularnie posyła na drogę, skoro zauważy jakiś ruch. A i na nas przyszła kolej. Dnia dwudziestego dziewiątego otrzymaliśmy ogień na baterie. Strzelała artyleria lekka i moździeże nieprzyjaciela — jak zdołaliśmy stwierdzić po odłamkach. Dwa pociski padły w pobliżu drugiego działa, jeden uderzył w działobitnie trzeciego (działo w międzyczasie dołączyło na stanowiska), kilka pocisków padło w dalszym rejonie baterii. Strat żadnych nie mieliśmy. Ludzie byli w schronach. Ale otrzymaliśmy chrzest na nowych stanowiskach. Przy jednym z dział zaczęła się palić siatka, która przykrywała amunicję oraz jedna skrzynka z ładunkami, ale ogień został szybko zlikwidowany. Zaczęła się dalsza praca nad umocnieniem stanowisk i własnych schronów, aby być zabezpieczonym na wypadek powtórnego ognia nieprzyjaciela. Zaczęły chodzić słuchy o przygotowaniach do natarcia.

W istocie na stanowiska zaczęto zwozić masę amunicji wszelkiego rodzaju. W międzyczasie bateria wykonywała bardzo duże ogni, tak, że amunicję stale trzeba było uzupełniać. Tu nie należy zapomnieć o kierowcach naszych, którzy nocą dowozili nam amunicję na stanowiska w ciężkich warunkach, często pod ogniem nieprzyjaciela. Ambicją każdego kierowcy było, aby jak najprędzej dostarczyć ładunek swój na stanowiska, szybko rozładować i sprawnie, jak najprędzej, zjechać ze stanowisk. Wspomnę tu jednego z kierowców ciągnikowych, który jadąc w kolumnie amunicyjnej na stanowiska, wskutek zabłądzenia tej kolumny musiał zawrócić z pełnym wozem z powrotem do swego miejsca postoju. Rozpaczał, że może na stanowisku potrzeba amunicji, a on tu musi niepotrzebnie wracać i gdyby sam jechał, a nie w kolumnie, toby na pewno nie zbłądził. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że w nocy z 11 na 12 maja o godz 23-ej rozpocznie się natarcie naszego Korpusu na Monte Cassino. — Otrzymaliśmy plan ogni, rozpracowaliśmy go szczegółowo i pokończyliśmy ostatnie przygotowania.

Punktualnie o godzinie dwudziestej trzeciej rozpoczęliśmy ogień.

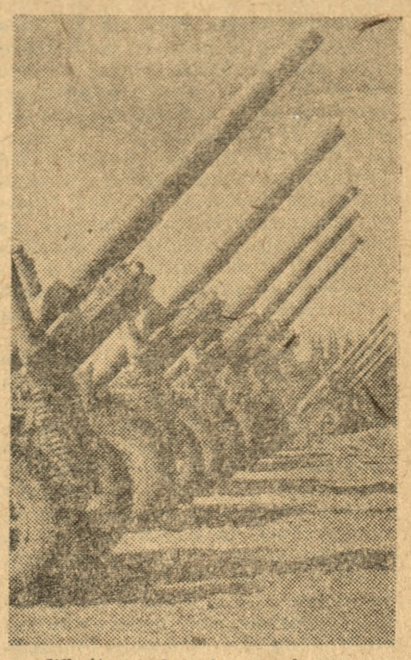

Wkrótce padną słowa rozkazu: „Pomaszerujecie szlakiem znanym..."

Zajaśniało niebo od błysków, zatrzęsła się ziemia od huku dział. To cała artyleria Sprzymierzonych na tym odcinku frontu rozpoczęła muzykę. —

Plan ogni przewidywał ogień do godziny piątej dnia dwunastego maja, ale strzelaliśmy z małymi przerwami prawie do wieczora. Obsługa upadała ze zmęczenia. Oddaliśmy ponad dwa tysiące pocisków. Ażeby dać ludziom i działom wytchnienie, strzelaliśmy trzema działami, a czwarte działo odpoczywało pół godziny i tak na zmianę. Praca obsługi przy tak długim strzelaniu jest bardzo ciężka, specjalną rolę odgrywa tu czynnik zmęczenia przy długiej mechanicznej pracy. Ale tu obsługa zdała pierwszorzędnie egzamin. Ognie wszystkie były wykonane na czas i prawidłowo, bez „nawalania". Puszkarz bateryjny był czynny przez cały czas. Ani jedno działo — dzięki jego troskliwej opiece — ani na chwilę nie wyszło z akcji. Umiał zawsze, w każdej chwili, znaleźć się tam, gdzie potrzeba.

W dzień bateria wyglądała jak pobojowisko: koło każdej działobitni piętrzyły się stosy wystrzelonych łusek i pustych skrzynek od granatów, ładunków i zapalników. Wszystko to zostało uporządkowane i następnej nocy, kiedy wozy przyjechały z amunicją, odesłane.

Trzeba nadmienić, że Niemcy zostali całkowicie zaskoczeni przez ogień naszej artylerii, tak, że artyleria nieprzyjacielska nie odzywała się prawie. Zresztą plan ogni w pierwszej fazie nie na darmo przewidywał zwalczanie artylerii nieprzyjaciela. W pobliżu naszej baterii padło jedynie kilka pocisków, a kilkanaście daleko w prawo i w lewo.

W czasie całego natarcia otrzymywaliśmy stale świeże wiadomości z pola walki, które natychmiast, w przerwach między poszczególnymi ogniami, były przekazywane przez loud-spikery na baterie. Uzupełniliśmy amunicję, przeprowadziliśmy konserwację dział i czekaliśmy na następne natarcie.

Dnia siedemnastego maja o godzinie szóstej rozpoczęło się nowe natarcie.

I znowu cała artyleria rozgrzmiała na nowo. Tym razem z przerwami ogień trwał około dwudziestu godzin.

W pewnej chwili zepsuło nam się jedno działo. Zdawało się, że trzeba będzie na razie z niego zrezygnować, ale puszkarz nie dał za wygraną. Zabrał się żwawo do roboty i po trzech i pół godzinach zameldował mi, że działo może strzelać. Jestem z pełnym uznaniem dla jego pracy. —

Chłopcy nasi w czasie strzelania interesowali się bardzo przebiegiem natarcia i pilnie śledzili postępy naszej piechoty. Wszelkie wiadomości otrzymywane z pola walki były przekazywane przez głośniki na baterie.

Wreszcie osiemnastego otrzymaliśmy radosną wieść, że Monte Cassino padło... Że wreszcie po nieudanych natarciach: amerykańskim, francuskim i nowozelandzkim — polska chorągiew powiewa dumnie na ruinach klasztoru...

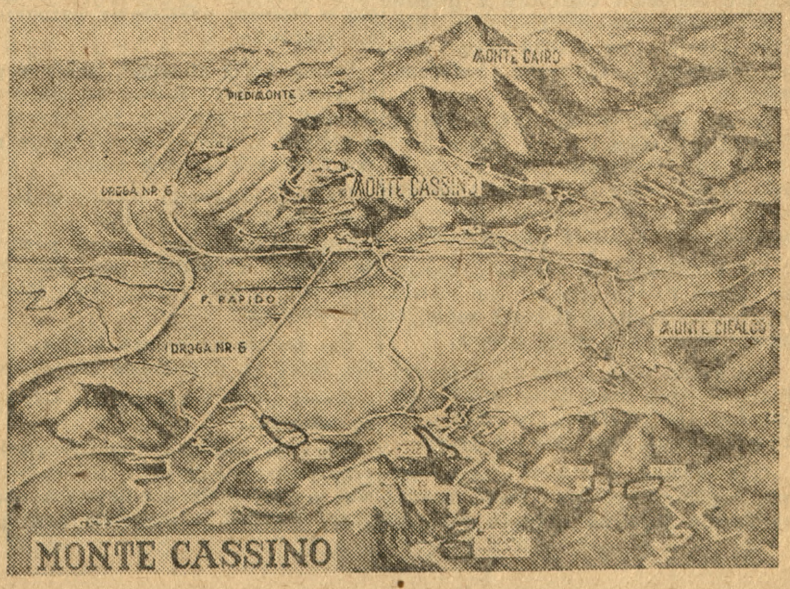

Przyszłość Muzeum Miejskiego i odbudowa Starego Rynku

Muzeum miasta Poznania założone w roku 1930 w budynku powystawowym przy ul. Marsz. Focha rozrosło się do 16 sal w okresie przedwojennym i już się w nich nie mieściło posiadając 11 000 eksponatów i bibliotekę Kasprowiczowską liczącą 2300 dzieł. W chwili tak pięknego rozwoju przychodzi katastrofa wojenna. Niemcy przerzucają zbiory z miejsca na miejsce, część pamiątek narodowych — niszczą. Przed groźbą nalotów wywożą zbiory i ukrywają je w pałacach w Obrzycku i Wasowie, stamtąd zaś wysyłają do Gross Grabe pod Dreznem 31 skrzyń obrazów, i skrzynie grafiki. 28 skrzyń kart geograficznych i skrzynię medali ,plakat i numizmatyki i skrzynie rozmaitych rzeźb. Wszystko to zostaje jeszcze cennym obiektem do rewindykacji. Niewielka tylko część zbiorów, której Niemcy wywieźć nie zdołali ocalała w wyżej wymienionych majątkach i obecnie do Poznania wróciła. Są to przeważnie, obrazy w liczbie 318. Poza tym w katedrze poznańskiej odnaleziono 39 artystycznych skrzynek cechowych, bez aktów. W rejonie Archiwum Miejskiego odgrzebano z gruzów, trochę zniszczonych pamiątek cechowych od 15 wieku począwszy i okruchy biblioteki (41 tomów).

Tak więc zbiory muzealne są rozbite i zdziesiątkowane, bez przytułku, zdawało by się więc, że żywot muzeum zakończony, ale w najmniejszym stopniu tak nie jest. P. Kazimierz Lisiecki, referent spraw muzeów i zabytków przy Zarządzie Miejskim biada wprawdzie nad ciężkimi stratami, ale zaręcza mnie, że duch muzeum żyje, idea jego zginąć nie może i już snuje się projekty i plany rozbudowy działów i pomnożenia eksponatów.

Muzeum Miejskie, jako muzeum regionu ma swoje cele i zadania zawsze żywotne. Jeśli co drugie miasteczko na terenie Ziem Odzyskanych miało swoje zbiory regionalne, ba, nawet prawdziwe muzea, to stolica dużej połaci kraju, jak Poznań nie może pozostać bez zbiorów dokumentujących historię jego rozwoju, jego bogactwo kulturalne, jego dorobek naukowy i obraz wszechstronny pracy jego szarego mieszkańca. Jako uzupełnienie dokumentów walki z najeźdźcą zamierzone jest otworzenie specjalnego działu pamiątek z powstania wielkopolskiego w latach 1918 i 1919, około którego krząta się już Zarząd Związku Powst. Wielk. z prezesem K. Lisieckim na czele. Pierwszą wystawę tych pamiątek urządzono w roku ubiegłym w Lesznie, a projektuje się urządzenie jej w Poznaniu w grudniu w trzydziestolecie walk o niepodległość. Do tego dojdą pamiątki z czasów okupacji ostatniej i chwili wyzwolenia. Poza tym, oczywiście, wedle możności odtworzy się dział pamiątek po Kasprowiczu, dział rzemiosła, galerie obrazów i inne. Eksponaty zaczynają więc napływać, skupiać się, tymczasem w skromnej gościnie (jak w kącie) w obszernych salach biurowych Wydziału Oświaty i Kultury na Zamku, póki nie wybuduje się im godnego przybytku.

Ale i to jest na dobrej drodze. Muzeum będzie miało swój gmach! Gdzie? — Jesteśmy u inż. Zbigniewa Zielińskiego w tymże Zamku na piętrze w Wydziale Planowania i Rozbudowy i oto jakie horoskopy przed nami rozwija. Musimy jednak zacząć snuć inny wątek.

Długo i bezowocnie toczyła się w rozmaitych instancjach i areopagach sprawa: jak należy odbudować Stary Rynek? (sprawa zresztą tak samo debatowana i te same trudności nasuwająca we wszystkich innych zniszczonych zabytkowych ośrodkach). Czy znieść resztę, w gruzach leżącej zabudowy wewnętrznej i przez oczyszczenie placu dać widok na Stary Ratusz, czy z pietyzmem w miarę możności odtworzyć zabytki w charakterze i stylu dawnym oczyszczając je z naleciołości pruskich. Chodziło o rzecz zasadniczą: czy Stary Rynek ma zachować swój zabytkowy charakter?

Wiadomo, jak na wszystkich innych rynkach miast polskich, będących jedynymi miejscami sprzedaży — w przeciwieństwie do innych miast zachodnio-europejskich — stały kramy i sklepiki w pośrodku placu. W Poznaniu stały również sukiennice i tzw. Bogate Kramy z drewnianych na murowane zamienione w XVI wieku, była waga miejska, w drugiej połowie dopiero zeszłego stulecia rozebrana przez Prusaków i był odwach zabytkowy budynek z czasów stanisławowskich i blok Fitznera używany dawniej jako arsenał. Obecne skrupulatne badania naukowe ułatwione zupełnym rozbiciem budynków przeprowadzone drogą sondowania i odkuwania pod kierownictwem fachowców i przy poparciu konserwatorów: mgr. Kępińskiego i dr. Jana Zachwatowicza dały możność odtworzenia najdawniejszych budowli w ich charakterze.

Dyskusja, która się przeciągała i hamowała akcje odbudowy, została w końcu rozstrzygnięta na pamiętnym zebraniu zainteresowanych czynników d 25/II br. Prezydent miasta mgr Sroka definitywnie przechylił szalę decyzji na stronę konserwatorów i obrońców zabytków. Jednym słowem węzeł gordyjski został przecięty. Postanowiono odbudować zabytki odtwarzając w miarę możności ich dawny charakter i nie podnosząc ich elewacji powyżej jednego piętra, a to dla zostawienia wolnego widoku na ratusz. Jednym z powodów ustalających taką decyzję była właśnie potrzeba budynku odpowiedniego na pomieszczenie Muzeum Miejskiego. Tak więc zazębił Prezydent i skojarzył dwie sprawy kulturalne. Odtąd los ich ma być nierozdzielny. Postanowiono na razie odbudować mniej więcej połowę wewnętrznych zabudowań rynku a to: wagę miejską, odwach z bocznymi skrzydłami i blok Fitznera. Ponieważ plan inwestycyjny na rok bieżący jest zakończony, zgłoszono tę ważną i wielką pozycję do planu na rok 1949 a tymczasem powierzono inżynierom: Rogerowi Sławskiemu i Zbigniewowi Zielińskiemu opracowanie dokładnych planów budowy.

Poznań więc może z ufnością spoglądać w przyszłość. Jego zabytki historyczne, pomniki kultury i sztuki zostaną z pietyzmem odtworzone ku sławie u przyszłych pokoleń. (ama)

Rzeźba w drzewie św. Andrzeja Boboli dłuta Józefa Berdyszaka z r. 1938.

KULTURA, SZTUKA,

Chłop artysta - spod Książa

Janko Muzykant Sienkiewicza i Antek Prusa są dla nas smutnymi przykładami zmarnowanych talentów na wsi. Zdarzały się jednak wyjątki, które swą wytrwałością i uporem przezwyciężały ogromne trudności, najczęściej natury finansowej, i niezrozumienie w najbliższym nawet otoczeniu.

Do tego rodzaju ludzi należy artysta-chłop ze wsi Zawory, leżącej około 8 km od Książa, miejscowości znanej z bitwy podczas „Wiosny Ludów", której stulecie niedawno obchodziliśmy.

Mieszka sobie nasz rzeźbiarz — Józef Berdyszak — na 40 morgowym gospodarstwie, w pięknej okolicy wśród lasów. Jest jednak więcej rolnikiem z kultu dla pracy i spadku po swym ojcu, niż z zamiłowania. Zamiłowanie jego przejawiało się od najmłodszych lat w struganiu z marchwi i buraków figurek, przedstawiających różne zwierzęta.

Gdy już poszedł do szkoły (ukończył 4 klasy szkoły niemieckiej), robił z drzewa piórniki ozdobne i nosił przy sobie zawsze cały oddział żołnierzyków, wyciętych z drzewa, przy czym dowódca zawsze przewyższał swych żołnierzy podwójnym wzrostem. Zbierał też skrzętnie wszelkie, nawet w rowie znalezione, skrawki gazet. na których była ilustracja jakiejś rzeźby, nie zawsze zdając sobie dokładnie sprawę z tego, w jakim celu to gromadzi.

Potem przyszła praca w harcerstwie, gdzie otrzymał pierwszą nagrodę i dyplom w konkursie zdobienia lasek harcerskich. P. Berdyszak przechowuje otrzymany wówczas dyplom i numer gazety harcerskiej „Czuj Duch" z roku 1925 z jego rysunkami pieczołowicie w swych aktach.

I teraz zaczyna się powoli i jego rozgłos i tragedia zarazem. Znajomi namawiają jego ojca, aby oddał syna do odpowiedniej szkoły artystycznej. Ojciec niestety nie chce słyszeć o tym. Mimo to za zarobione przez wykonywanie planów budowlanych pieniądze wbrew woli ojca i bez pożegnania się z nim wyjeżdża do Krakowa i zdaje egzamin wstępny do Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego. Niestety pieniądze wystarczyły tylko na pół roku, w którym to czasie i tak „najadł" się nędzy nie mało. Dużo w Krakowie skorzystał z wykładów profesora Homolacs'a, którego „Podręcznik do ćwiczeń zdobniczych" oddaje jeszcze dziś p. B. niemałe usługi.

Z powodu więc braku pieniędzy wraca do domu, „odpowiednio" przyjęty przez ojca... Przez pewien czas pracuje teraz u stolarzy w Śremie przy zdobieniu mebli. Pracy ma dużo, pieniądze oszczędza, aby jeszcze raz spróbować kształcić się w Szkole Zdobniczej w Poznaniu. Ale i tu nie przebywa dłużej jak dwa semestry. Zresztą w Poznaniu mniej mu się podobało niż w Krakowie.

Dokształca się więc w domu a równocześnie wykonuje różne zamówienia. Rzeźbi więc stacje Męki Pańskiej dla kościołów w Książu, Śremie, Czersku, Brzóstkowie (koło Żerkowa) i w Broniekowie w powiecie kościańskim. Zarabia nawet nieźle. Przed wojną zdołał sobie zaoszczędzić sumę, za którą chciał wybudować nowy dom mieszkalny. Niestety wojna stanęła temu na przeszkodzie, pieniądze przepadły.

P. Berdyszak ma dziś 47 lat. Jest znany w całej okolicy. Gdy potrzeba gdzieś wykonać okładkę do pamiątkowego albumu, tablicę pamiątkową czy rzeźbę

Alegoria pracy — Rolnictwo — (gips)
Fot. J. Berdysiak

dla kościoła, wiadomo, że najlepiej zrobi to Berdyszak. W jego mieszkaniu, gdzie spojrzysz, znajdziesz dowody jego pracy i talentu. Szafa i krzesła pięknie rzeźbione na wzór gdański. Nawet na powózce wyrzeźbił monogram swego ojca. Zakres jego zainteresowań nie ogranicza się do rzeźby i płaskorzeźby w drzewie, wykonuje piękne inkrustacje, intarsje, karbówki, meble stylowe, ludowe, linoryty, maluje obrazy olejne (reprodukcje) a nawet fotografuje.

W swych artystycznych zamiłowaniach nie jest bynajmniej odosobniony w rodzinie. Żona jego Pelagia wiernie sekunduje mu pięknymi pracami kobiecymi, wykonanymi najróżniejszą techniką. Dwaj synowie również próbują iść w ślady ojca, przy czym jeden z nich uczy się gry na skrzypcach. Chciałby jednak od razu grać a nie ćwiczyć długo nudnych palcówek. Kiedy zaś nauczyciel zabronił mu „po swojemu" grać i zatrzymał smyczek, chłopak nie dał za wygraną i sporządził sobie drugi smyczek własnym przemysłem.

Dziś p. Berdyszak jest w pełni sił i talentu. Udziela się społecznie, przez dwa lata był członkiem Pow. Rady Narodowej w Śremie. Żałuje, że nie ukończył studiów artystycznych. Ciągle się jednak dokształca, przy każdej okazji zwiedza wystawy artystyczne w Poznaniu. W projekcie ma wykonanie szafy do bielizny z kolorowymi płaskorzeźbami, opartymi na rysunkach strojów ludowych Stryjeńskiej.

Gdy jakiś przyjezdny gość bawi w okolicy, nie omieszka go odwiedzić. I my również byliśmy z wizyty u p. Berdyszaka bardzo zadowoleni, zwłaszcza, że żona jego poczęstowała nas prawdziwie wiejskim chlebem z jajecznicą.

Mgr Jan Horowski

TERESA PRZANOWSKA, Skwierzyna — (Godło: Kościesza)

Siły na zamiary

Długo, długo się wahał, zanim się zdecydował. Pragnienie zostania nauczycielem powstało w nim, gdy był jeszcze skromnym uczniem 6 klasy szkoły powszechnej.

Zawsze zazdrościł naucycielom tego „rządu dusz" i umysłów.

Później wybuchła wojna, którą przeżył w tragicznych zmaganiach o zachowanie życia i godności człowieka i Polaka.

Nie mogąc uczyć się w szkołach, uczył się prywatnie. Tym droższą była mu nauka, że z takim trudem ją zdobywał, że tak wiele samozaparcia go kosztowała.

Zdolny był i cieszyło go to. Pragnął dużo umieć. Wiedział, że niczym Polak nie odbuduje Ojczyzny z gruzów i zniszczenia powojennego, jak światłym umysłem, uzdolnioną ręką i sercem kochającym Ojczyznę świadomą miłością.

Te cechy, dać może tylko nauka. Chłonął ją przeto chciwie pełną piersią, a gdy przyszedł czas, że trzeba było zacząć pracę dla Polski i zresztą — aby żyć, znowu podniosło się w nim pragnienie, aby zostać nauczycielem.

Ale sumienie jego nie było spokojne. Jakże daleko jeszcze do chwili, gdy będzie mógł powiedzieć sobie, że umie już tyle, aby uczyć innych.

Ale życie woła i wzywa do pracy. Przecież może się dalej uczyć, bez przerwy, tym łatwiej, że dostęp do książek i szkół jest łatwy i wolny.

Gdy zapadło w nim to postanowienie, uspokoił się. Na chwilę zawisło spojrzenie jego na obrazku świętego Jerzego nad łóżkiem... Musi dać sobie radę!

— — — — — —

Rozmowa z Inspektorem szkolnym w mieście, do którego się udał ze swojej cichej wioseczki, podniosła go na duchu. Inspektor był młody, wesoły, energiczny. Był nie tylko „władzą", ale i przyjacielem, widać to było od razu, gdy tylko zamienił z nim kilka słów.

Oczywiście, będzie się pan dalej uczył, młody człowieku! — Będzie pan brał udział w kursach wakacyjnych, złoży pan maturę i może się pan później specjalizować, — powiedział Inspektor szkolny.

Napełniony otuchą, po otrzymaniu wyczerpujących wskazówek, z nominacją w kieszeni, udał się na wyznaczoną mu placówkę.

Szkoła, którą otrzymał, leżała w głębi powiatu, dość daleko od stacji kolejowej. Po przyjeździe zameldował się u sołtysa, zostawił u niego swoje rzeczy i poszedł obejrzeć szkołę.

Pierwsze wrażenie przestraszyło go. Ani jednej całej szyby, piece bez drzwiczek, drzwi bez klamek, pozrywane podłogi w poszukiwaniu „skarbów", poobijane tynki. Młode serce ścisnęło się strachem.

Czy podoła tej pracy? — Czy da sobie radę? — Czy ludzie mu pomogą?

Przesunął się przed oczyma św. Jerzy na obrazku...

Pierwsze zebranie gromady zwołane przy pomocy sołtysa, miało zadecydować o przyszłym współżyciu i współpracy młodego nauczyciela z wsią.

Przygotował się do niego starannie. Ułożył sobie porządek obrad, pragnął zrobić dobre wrażenie, aby mu zaufano, że przyszedł do nich aby im było lepiej.

W dużej izbie sołtysa zasiedli gospodarze na ławach i krzesłach.

Przy stole zasiadł sołtys. Gdy zajął swoje miejsce obok sołtysa, podniósł oczy i uważnie obrzucił spojrzeniem twarze zgromadzonych.

Wiedział już, że większość z nich — to autochtoni, że w wielu z nich trzeba się z trudem doszukiwać polskiej duszy ale to go raczej zachęcił

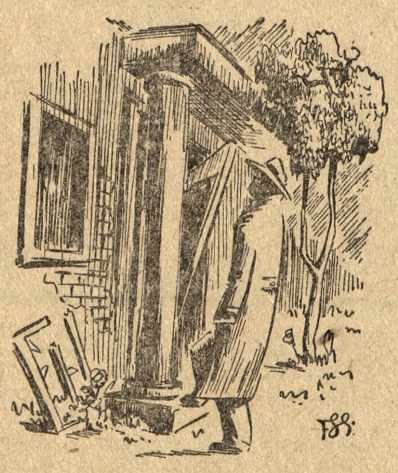

— Zrobię z was Polaków, zeskrobię z was ten tynk niemiecki! — szeptał sobie w myśli...

A oni patrzyli na niego nieodgadnionym wzrokiem. Oczy mieli niebieskie przeważnie, ale spojrzenie ich nie było dobre, błyskała nawet ironia...

— Taki chuchrak, na nauczyciela przyszedł! — no!

Jeden tylko, starszy chłop patrzył na niego życzliwie i kiwał głową potakująco, gdy nauczyciel mówił o tych brakach w szkole i o dzieciach co się uczyć muszą...

— Jo, dziecka sie uczyć muszom, zaś nie uczyły sie dotąd — no ni? powiedział.

Nauczyciel zrozumiał, że ten mu pomoże i zrobiło mu się lżej na sercu.

Zebranie to było dziwne, prawie milczące. Nauczyciel mówił i sołtys mówił, a oni milczeli, ten jeden tylko kiwał głową i mówił: jo jo...

— — — — — —

Praca w szkole postępowała naprzód. Nie było dnia, żeby coś nie przybyło, czego nie było wczoraj.

Gruz już wyniesiono, piece jeden z gospodarzy naprawił, dziury w dachu nakryto. Podwórko szkolne i ogród, uporządkowały dzieci. Tylko jeszcze szyb nie było.

Oj, najeździł się też, najeździł nauczyciel za tymi szybami! Odsyłali i do Starostwa, i do Wydziału pow. i do gminy. Nareszcie dopomógł mu Inspektor szkolny i zdobył to bezcenne szkło.

Całe szyby i całe ławki, nowa tablica, to było ukoronowanie jego marzeń. Teraz tylko dzieci!

Niestety! — Dzieci te kamieniem legły na jego sercu... Oto nie umiały mówić po polsku!

Tylko kilkoro dzieci repatriantów patrzyło na nauczyciela ze zrozumieniem, te inne, a sporo ich było, patrzyły tępo i nieprzychylnie.

Musiał zacząć uczyć je mówić!

Znalazł i w tym rychło źródło radości. Dzieci uczyły się dość szybko, ale mówiły gardłowo, nieprzyjemnie.

Najgorsze, że między sobą w czasie przerwy,, lub na podwórku, rozmawiały wyłącznie po niemiecku.

Postanowił i to zwalczyć.

Gdyby chciał, toby przez ciągłe zwracanie uwagi, albo przez stosowanie dozwolonych kar, szybciej osiągnął rezultaty, ale on pragnął aby młodzież pokochała język polski jako swój własny, przez wroga odebrany.

Mówił z nimi o tym, czytał im pięknie dobrane powieści i wiersze...

Ciężko było! — Nikt nie uwierzy jak głęboko wkorzenił się język niemiecki w młodzież, zwłaszcza starszą, która należała przy Niemcach do organizacji „Hitlerjugend".

Czuło się ciągle opór wewnętrzny i niechęć, która jakże powoli malała...

Zadawał sobie wiele razy pytanie, czy być może, aby to byli Polacy?

Odpowiadały mu na to ich polskie nazwiska niezdarnie zniemczone, odpowiadały inne cechy niespotykane u Niemców, jak litość na przykład.

Zaczął urządzać z nimi przedstawienia amatorskie teatralne (co za wspaniała nauka wymowy!) przeciwko którym młodzi bronili się, a starym się to podobało, no i dawało pewien zysk, za który nauczyciel zawsze coś potrzebnego zakupił do szkoły, zwłaszcza książki.

Po roku takiej pracy, nauczyciel doczekał się dość niezłych rezultatów. Opór do języka polskiego przełamał, jedynie tylko w czasie nieszkodliwych bójek na boisku szkolnym wymyślała sobie młodzież po niemiecku, a na ogół nieźle już po polsku mówili.

Gdy zaś w zimie młodzież dorosła tłumnie zgłosiła się na kursy wieczorowe, nauczyciel odczuł coś w rodzaju szczęścia.

Na konferencji nauczycielskiej przy omawianiu takich zagadnień, młody nauczyciel umiał już dać radę starszym kolegom pracującym wśród autochto-

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

Polacy na szlakach świata

Prof. Marian Raciborski na Jawie

Największy polski botanik profesor Marian Raciborski już w 29 roku życia miał w swym dorobku 44 prace naukowe. W roku 1896 nasz uczony udaje się na wyspę Jawę, gdzie jako pole do badań otwarła się przed nim najwspanialsza podzwrotnikowa przyroda. O nieużyteczności dziewiczych lasach, których na nizinie jawajskiej nie ma dziś zupełnie, pisze Raciborski w „Życiu pod równikiem"

Prof. dr Marian Raciborski

„...Zanim dojdziemy do lasu dziewiczego, godzinami wędrować nam wypadnie przez czerwone plantacje heroaty, marne, grzybem zniszczone plantacje kawy, czerwonokore plantacje chininy. Na krawędzi lasu, nietkniętego siekierą człowieka, stajemy zdumiali i bezradni; gdzie nie ma gotowej drogi, tam do lasu wejść niepodobna. Brzeg jego przedstawia się jak ściana, spięta sznurami pnączy we wszystkich kierunkach, kryta zielonością liści wszelkich odcieni. Wysyłamy przodem ludzi, opatrzonych w silne tasakom podobne noże do torowania drogi przez pnące się sploty i stoimy w cieniu drzew. Uderzają nas przede wszystkim liany, bądź to cienkie jak ołówek, bądź zdrewniałe i grube jak człowiek, setki metrów długie, oplatające w niezliczonych, nieregularnych splotach drzewa i szukające światła na szczytach sklepienia leśnego. Uderzają nas dalej pnie drzew, pokryte nie nagą korą, ale mnóstwem roślin, to drobnych mchów, to delikatnie wcinanych paproci, to wreszcie storczyków. Każde drzewo jest niby ogrodem botanicznym dla siebie. Na najwyższych konarach, na najcieńszych gałązkach ba, nawet na liściach skórzanych przytwierdzają się korzeniami rośliny i pędzą cały swój żywot bez ziemi, jako epifity, w powietrznej atmosferze. Botanik staje bezradny wobec bogactwa form, tym bardziej, że tylko rzadko napotka kilka okazów tego samego drzewa obok siebie rosnących, zwykle są liczne bardzo gatunki zmieszane bezładnie ze sobą. Samych drzew leśnych jest na Jawie przeszło 4 000 gatunków, a wszystkie pomieszane najdziwaczniej ze sobą".

Działalność naukową Raciborskiego znamionuje wszechstronność rzadko spotykana, ogarniająca wszystkie główne działy botaniki. Prowadzi o doniosłym znaczeniu prace w dziedzinie fizjologii roślin, w zakresie cytologii, anatomii, a morfologię uprawiał ze szczególnym zamiłowaniem. Z dziedziny ekologii roślin pozostawił „szkice biologiczne" z Jawy i badania nad mrówkolubnością. Florystyką i opisową systematyką roślin zajmował się Raciborski w ciągu całego życia. W ostatnim okresie życia jednym z głównych jego dążeń było wydanie dzieła „Flora Polski". We Lwowie wydał 9 setek zielnika flory polskiej pod tytułem „Rośliny Polskie", jak również podobne zielniki glonów, grzybów, mchów i wątrobowców. Pozostawił przepiękne zbiory zielnikowe i muzealne skrzętnie gromadzone w ciągu całego życia, zwłaszcza w czasie pobytu na Jawie. Raciborski był w Polsce pionierem geografii roślin. Ogłosił pierwszą geobotaniczną mapę ziem polskich. Badał flory kopalne paleo- i mezozoiczne. Opracował retycką florę krakowską glinek ogniotrwałych. Napisał syntetyczny zarys paleobotaniki, który pozostał w rękopisie Wspomnieć należy również, że Raciborski interesował się genetyką, przede wszystkim zjawiskiem mutacji, które pierwszy odkrył na kilkanaście lat przed De Vriesem.

JULIAN KAROLINI

Józef Berdyszak — artysta-rzeźbiarz spod Książa ze swoim dziełem.

Przegląd kulturalny

W Teatrze Wielkim wciąż jeszcze idzie ten sam znany repertuar: Halka, Carmen, Aida, Onegin itd., ale równocześnie przygotowuje się nową i b. interesującą premierę: balet „Swantowit" — Piotra Perkowskiego, zapowiedzianą na koniec maja. Całkowicie nowe, dotychczas niewidziane u nas tło epoki i środowiska wymagało specjalnego opracowania. Rozpisany konkurs na dekorację i kostiumy przyniósł w sumie 18 prac, w tym 4 makiety i 200 plansz, na ogół ciekawych i na dobrym poziomie artystycznym. Na posiedzeniu Jury konkursu nagrodzono pierwszą nagrodą 60 000 zł pracę pod godłem „Ubu", autorką której okazała się Maria Jaremianka z Krakowa. Drugą nagrodę otrzymali dwaj malarze z Poznania: Lenica i Wieczorek. Dyrekcja Opery jednak pominąwszy owe nagrody przeznaczyła do realizacji projekt Andrzeja Stopki z Krakowa, jednego z pięciu zaproszonych do konkursu. Przez 3 dni prace nadesłane były wystawione publicznie i pokazane będą raz jeszcze z chwilą wejścia na afisz „Swantewita".

Tak więc Poznań oczekiwać może niedługo rewelacji w dziedzinie całkowicie rodzimej sztuki w gmachu Opery.

Aby się przerzucić na drugi biegun w dziedzinie teatru wspomnąć nie zawadzi o skromniutkim teatrzyku miejskim w Gnieźnie i podkreślić, że dzięki rzadkiej ofiarności i solidarności całego społeczeństwa, oraz opiece Zarządu Miejskiego teatrzyk ten prosperuje bez żadnych deficytów, ba, rozrasta się i bogaci, bo oto niedawno przy pomocy społeczeństwa zakupił samochód ciężarowy, przystosował go do swych potrzeb i wyjeżdża nim w teren, przy czym dekoracje pakuje się na dach wozu. Teatrzyk ten, choć amatorski, wykazuje niesłychaną ruchliwość i zapał do pracy. Daje dwa razy w tygodniu przedstawienia w Gnieźnie, a trzy razy w terenie, przy czym obsługuje 30 miejscowości i dociera do takich miejscowości, gdzie nawet nie ma sali odpowiedniej, aby ustawić dekoracje. W ostatnio opracowanym sprawozdaniu czytamy, że od czasu swego powstania (w r. 1946) dał 23 premiery, w tym sztuki: Fredry, Zawieyskiego, Bałuckiego, Zapolskiej i inne. W maju grane „Tam śród gór" Michała Wodzyńskiego, obecnie idzie „Ciotunia" Fredry. Od kwietnia prowadzi teatr Halina Łuszczewska, uczennica Szczurkiewiczowej, wypróbowana i dobra reżyserka. Wszystko w tym ambitnym i przedsiębiorczym zespole idzie ku rozwojowi, ale zapowiedzi Ministerstwa Kultury i Sztuki skasowania go, w przyszłym sezonie, jako amatorskiego, — wzbudziły popłoch. Miasto przywiązane do swego dzieła, robi usilne starania o zatrzymanie swego teatru.

Mimo letniej pory i pogody przychylniejszej wycieczkom jak godzinom skupionej uwagi w dostojnej, ale ponurej sali ratuszowej — odczyty literackie cieszą się zawsze nieumniejszającą się frekwencją: Słyszeliśmy dn. 11 maja bardzo ciekawe i żywe opowiadanie o „Harendzie" — pani Kasprowiczowej i końcowy jej apel do społeczeństwa poznańskiego o wykończenie grobowca Kasprowicza w Zakopanem, 13 maja na „Czwartku literackim" słyszeliśmy dwóch poetów śląskich W. Szewczyka i Z. Bednorza, którzy przywieźli ze sobą i roztoczyli panoramę widoków śląskich i ważkich problemów mieszkańców tej ziemi, dn. 20 maja mówił prof. Kolbuszewski na temat: „Romantyzm a geneza Kultury Polskiej".

Zasłużone i ruchliwe Towarzystwo Miłośników miasta Poznania wydało pierwszy numer tegoroczny „Kwartalnika Miasta Poznania". Przynosi on nam ciekawe przyczynki do historii powstania z r. 1848 i w dziale bieżącym przemówienia min. St. Dybowskiego i mgr. prez. miasta St. Sroki na uroczystości zawieszenia orła na wieży ratuszowej. Może nie dość znane i czytane jest przez szeroki ogół to pismo, które czerpiąc ze źródeł, pokazuje nam bogatą i ciekawą przeszłość Poznania, równocześnie obrazując jego nurt bieżący.

St. Szczepański

Dlaczego Cybis maluje brzydkie kobiety?

Pytanie to stawiano wielokrotnie w czasie trwania zbiorowej wystawy prac malarskich profesora akademii warszawskiej Jana Cybisa w Muzeum Wielkopolskim. Ale mało kto, jak się zdaje uświadamiał sobie do końca z jakiego powodu stawiał właśnie takie pytania. W przeważnej części wypadków chodziło tu może o emocje, wykraczające poza ramy sztuki; może marzenia, związane z wyobrażeniami piękna dotyczyły niekoniecznie pięknego obrazu, względnie pięknego malarstwa.

Z samego pytania początkowego wynika, że, albo Cybis brzydko maluje kobiety, które może w naturze są piękne, albo kobiety, które wybiera Cybis do malowania — nie grzeszą urodą w naturze. W stosunku do pierwszej alternatywy odparowanie zarzutu wydaje się łatwe: malarstwo Jana Cybisa opiewa zachwyt nad barwnością świata. Charakter tego malarstwa jest na tyle jednolity, że z każdego obrazu (bez względu co przedstawia i z którego roku pochodzi) nie trudno poznać autora.

A jeżeli w obrazach Cybisa nie rażą nas swoiste uproszczenia, kształtu kwiatu, ryby, owocu, drzewa itp. kształtu, który nie pokazuje po rafaelowsku, finezyjnie szczegółów budowy czy konturu, a jednak podoba się, powszechnie (ze względu na kolor całości), to gdybyśmy od tej samej kolorystycznej) strony popatrzyli na akt kobiecy malowany przez Cybisa — moglibyśmy zobaczyć to samo malarstwo. Ba, gdybyśmy tylko mogli! Ale niestety... Patrzyliśmy wszyscy na pejzaże impresjonistów polskich i nauczyliśmy się widzieć te obrazy a w podobny sposób ich odpowiedniki w naturze. Ale Stanisławski czy Wyczółkowski nie malowali aktów. Więc trudno nam w tej manierze zobaczyć nagość kobiecą, widzimy ją za to częściej à la Ingres, Dawid czy Boucher, albo zgoła a la Siemiradzki.

Prawdopodobnie kanon piękna ciała ludzkiego stworzony przez rzeźbę grecką, w jakichś dalekich refleksach tkwi jeszcze w nas, dlatego jesteśmy ślepi na zalety plastyczne obrazu (wyrażającego barwny aspekt zjawiska, którego ośrodkiem byłaby kobieta). Jeżeli obiekt malowany (oddzielnie rozważany) nie podoba nam się, to, odrazę w stosunku do obiektu przenosimy na obraz. A są to przecież trochę różne rzeczy.

Nie wiem komu specjalnie się spodoba piękno kobiet z obrazów Rembrandta, ale każdemu podobają się obrazy, przedstawiające te pełne życia i wyrazu, choć brzydkie z klasycznego punktu widzenia kobiety, i malarstwo Rembrandta nie ma dziś przeciwników. — Ale otóż Jan Cybis, podobnie jak to czyni z innymi modelami (pejzaże, martwe natury), nie zdaje się wybierać pewnych szczególnych motywów, nie wymyśla korzystnych ustawień, bierze po prostu świat taki, jaki jest. Wszystko wydaje się wystarczająco piękne na świecie — dla kolorysty — nie musi wychodzić gdzieś daleko w poszukiwaniu motywów, którymi wszyscy ustawicznie jesteśmy otoczeni — byle tylko ładnie móc zobaczyć.

Dobrze powie ktoś, ale czyż Cybis nie widział obok siebie innych, różnorodniejszych modeli kobiecych — pod względem typu, budowy ciała, proporcji w końcu wdzięku osobistego? Musiał widzieć i inne, może nawet ulegał ich urokowi, choć ich nie namalował. Nie wchodźmy w to [illegible] nie namalował, prawdopodobnie nadrobi ten brak w niedalekiej przyszłości.

Tymczasem rozważmy wyłaniający się z tej całej afery pewien „sens moralny".

„Olimpia" Maneta spowodowała swego czasu oburzenie głównie z tego powodu, że była „bezwstydnym" portretem ciała kobiecego, a nie idealizację. Dziś już upiększanie wedle jakichkolwiek kanonów nie jest w modzie, nie widzimy koniecznej potrzeby kłamania życiu-, skoro prawda ma też swoje piękne strony.

Dlaczego „brzydkie" modele nie mają mieć prawa obywatelstwa? Nie dość, że są upośledzone przez naturę (a może nam się tylko tak wydaje), jeszcze im to wypominać?!

Któż może wiedzieć czy nie idziemy ku nowej rasie ludzi — notabene „brzydkich" — i czy nie należy przestawić swoich zapatrywań na piękno.

W końcu w jakim celu kobiety mają być ładne — tą ładnością, do której przywykliśmy w Europie — i w kulturze grecko-rzymskiej? Rewolucje w dziedzinie pojęć estetycznych bywają też czasem pożądane.

I jeszcze przypomnieć należy, że malarz malując np. nogę nie robi tego z ciała i nie robi w przestrzeni trójwymiarowej, ale robi z kleksów farby kontrastowo ułożonych i na płaszczyźnie, że na tych kleksach i na tej płaszczyźnie tyleż zależy, ile na wyrażeniu samej nogi za pomocą tych symboli, które zresztą spostrzegamy i w naturze.

JAN KRAŚNY, Poznań — (Godło: „Powrót")

Na pionierskim szlaku

nów, a młoda nauczycielka z chabrowymi oczyma, o 3 km od kolegi mająca piękną szkółkę, zwróciła się do niego z poważną prośbą, aby ją nauczył swoich metod postępowania z autochtonami.

Podjął się tego z nieśmiałą radością. Każda praca twórcza i pożyteczna, napełniała go uczuciem podobnym do szczęścia.

Pracując z takim zapałem, wychudł i stał się jeszcze bardziej czarny niż był, ale młodzież jego mówiła po polsku, a starzy w niedzielę przychodzili do niego i wspominali czasy, kiedy: — Polokami my byli, jo, jo! — Poloki my byli no!

Koleżanka z chabrowymi oczyma, z wielkim pożytkiem korzystała z rad kolegi. A kiedy się zapalił mówiąc o swoich dalszych projektach w twórczej pracy nauczycielskiej, to czarne oczy rzucały takie blaski, a twarz płonęła takim zapałem, wówczas chabrowe oczy koleżanki wyrażały taki zachwyt, że rozpłomieniony kolega tracił wątek i milkł, nie mając siły oderwać swoich oczu od szafirowych, zachwyconych gwiazd oczu koleżanki...

I tak młody nauczyciel wydobywał spod niemieckiego tynku polskie dusze, wzbogacając Ziemie Odzyskane, w świadome swojej przynależności narodowej — rzesze autochtonów.

Budował Polskę na odwiecznie polskich ziemiach, pełnił najtrudniejsze posłannictwo, bo odbudowywał dusze ludzkie, żyjące lata całe w zakłamaniu i hańbie.

Budował Polskę na Ziemiach kresowych, tworząc silne zaplecze ze świadomych obywateli złożone, które już sobie ani ziemi, ani narodowości wydrzeć nie pozwoli.

A z tym nauczycielem, taką samą pracę lub podobną, pełnią od chwili odzyskania tych ziem, aż po dzień dzisiejszy, liczne rzesze nauczycielstwa, których trud ofiarny, równa się bohaterstwu żołnierskich zasług.

— Czy to ma sens, Mario? Czy przetrzymamy to wszystko? Spójrz tylko, ilu wraca stamtąd.

Ciągnęli wspólnymi siłami wózek, zdobyty raczej przez nią, na peronie w Stargardzie. Nie smarowane widocznie dawno koła zeschnięte i ledwie trzymające się obręczy, wydawały przy każdym obrocie charakterystyczny, drażniący pisk, podobny do świszczącego oddechu starca, przytłoczonego brzemieniem. Na tym wózku, niewiadomo czyim, bezpańskim, znajdował się cały ich majątek: Trochę bielizny, garnek, patelnia, dwa talerze, ręcznik, mydło, szczoteczki do zębów, i... skromne zapasy żywności na pierwszy okres pobytu w Szczecinie. Próchniejącemu nieledwie szkieletowi wózka przypadł ponadto w udziale zaszczyt transportowania walizek, dwóch innych pionierów, którzy nie mieli szczęścia zdobyć ani takiego, ani gorszego chociażby środka transportowego.

Słońce paliło niemiłosiernie. Przed nimi i za nimi wił się długi wąż mężczyzn, kobiet i wyrostków obarczonych plecakami dźwigającymi w rękach walizki, lub ciągnących za sobą wózki, wypożyczone od samego Pana Boga chyba, w Stargardzie, czy po drodze. Nieliczni tylko stawiali kroki na wspaniałej błyszczącej w słońcu autostradzie tak lekko, jakby odbywali zwykłą przechadzkę po placu Wolności lub po alejach Parku Sołackiego. Ani walizki, ani plecaki zdawały się im nie ciążyć wcale.

— Też pionierzy — myślał Jerzy nie bez uczucia goryczy. — Wyszabrują co bardziej wartościowego i po kilku dniach wrócą do Poznania. A my?

Spojrzał na profil Marii, na jej czoło zroszone potem na zaczerwienione z wysiłku policzki, na jej oczy wpatrzone twardo w daleki cel. Westchnął. Nie mógł w żaden sposób pojąć ogromu jej entuzjazmu, jej energii, uporu wreszcie, z jakim dążyła wytrwale i konsekwentnie do czegoś tak dalekiego, a zarazem mglistego i nieuchwytnego. Co ją tam ciągnęło właściwie.

— To jest nasze — powiedziała mu przed kilku dniami — i musimy się tam dostać. Miasto bez mieszkańców jest zwykłą trumną wyczekującą w

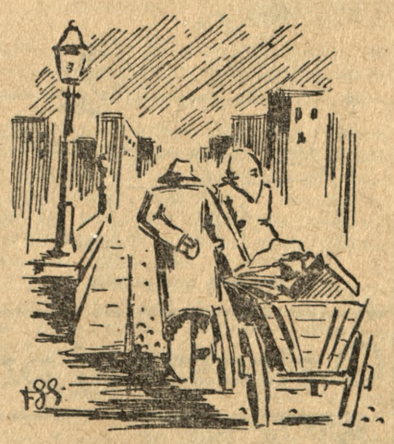

składzie na nieboszczyka. My czy inni: ktoś musi temu miastu nadać rytm i sens. Zresztą... nie mamy nic do stracenia.

Istotnie nie mieli nic do stracenia. Po powrocie z sześcioletniej prawie tułaczki w G. G., gdzie łatwiej było o kulę, lub stryczek niż o uczciwy i wystarczający na życie zarobek, zastali w Poznaniu zgliszcza tylko swego dziesięcioletniego dorobku małżeńskiego. Mieszkanie, meble, obrazy, książki, różne drobiazgi wreszcie, do których człowiek przyzwyczaja się, a których żałuje się tak długo, wszystko to poszło z dymem. Nie bez przytłaczającego im duszę upokorzenia uprzytomnił sobie teraz Jerzy, ciągnąc wraz z żoną ciężki, skrzypiący kołami wózek po gładkiej powierzchni autostrady, jak bardzo był niezaradny i jak słabe miał łokcie, do rozpychania się w tłumie silniejszych odeń współzawodników w walce o mieszkania, o posadę, o meble, o wszystko to, co nadaje życiu pewną wartość. Był zbyt miękki, zbyt niezdecydowany tam, gdzie należało wyładować z siebie cały zapas energii i gdzie trzeba było działać natychmiast. Nawet ten wyjazd na podbój miasta portowego, miasta, które znał tak dobrze z historii, które kochał i o którym marzył w ponurych dniach okupacji, nawet ten wyjazd nie nastąpił z jego inicjatywy.

— Bardzo jesteś zmęczona, Mario?

— Nogi mnie trochę bolą. Ale to nic! Mówią, że za trzy godziny będziemy na miejscu. A ty jak się czujesz?

— Dobrze. Chciałbym tylko znaleźć się tam nareszcie, osiąść gdziekolwiek i zacząć coś robić. Tymczasem wszystko jest we mnie prócz wiary i ufności. Sprzeczności wypełniają mą duszę i kołyszą postanowieniami, jak wiatr kołysze trzciną w czas wichury. Nie mogą w żaden sposób dopłynąć do brzegu, na którym stopy znalazłyby oparcie. Czy jednak, czy jednak... — nie mógł wydobyć z siebie tych kilku słów czując jak bardzo znowu ośmieszy się w jej oczach — czy nie należało by raczej pozostać w Poznaniu.

Objęła jego udręczone oblicze tkliwym, niemal macierzyńskim uśmiechem.

— Och ty dzieciaku, ty duży niepoprawny dzieciaku. Zawsze ta sama chwiejność i brak energii. Nie chcę ci robić wymówek, broń Boże! Urodziłeś się takim i nigdy nie będziesz innym. Wiem o tym. Zastanów się jednak. Dlaczego mielibyśmy w dalszym ciągu gnieździć się z dwiema rodzinami w jednym mieszkaniu i korzystać z pożyczonych nam mebli, skoro czeka tu na nas mieszkanie i praca i olbrzymi horyzont najróżnorodniejszych możliwości życiowych. Nie potrzebujemy przecież zdobywać niczego z bronią w ręku. Nasze wejście do miasta będzie tylko powrotem, powrotem, mój drogi. Urządzimy się ładnie, będziemy oboje pracowali, a potem sprowadzimy nasze dzieci i już nas nikt stąd nie ruszy. Wieczorem po pracy pójdziemy podziwiać Odrę i nasz port. Pomyśl tylko: okręty polskie i obce, marynarze, ludzie różnych narodowości, różnych ras. Czy to nie będzie wspaniałe!

Uśmiechnął się. Zawsze to samo. Nie przekonała go wprawdzie zupełnie. Dodała mu jednak otuchy, a to już coś znaczy. A może ona jednak ma słuszność? Po co dręczyć się niepotrzebnie?

Nagle czoło pochodu zatrzymało się. Przystanęli i oni, ciekawi przyczyny. „To już Odra?" krzyknął ktoś przed nimi. „Zaraz wejdziemy na most!". Twarze powlokły się rumieńcem radości. „Odra, Odra", powiało szeptem, wśród strudzonych wędrowców, dążących z uporem do ziemi obiecanej, do dziedzictwa praojców. „Nareszcie odpoczniemy! Nareszcie koniec tułaczki!".

— Więc to już — ucieszyła się Maria, wyprostowując obolałe ramiona. A Jerzy, spoglądając na nią, czuł, że nastrój gromady i jemu się udziela obficie. Może jednak to jutro, JUTRO PRZYSZŁOŚCI, będzie mniej groźne niż wydawało się z daleka?

Ruszyli znowu. Ochoczo i jakoś raźniej, niż przed tym. Przed nimi była Odra, tocząca swe ciemne fale od wieków. Był port, pamiętający dostojne oblicza królów, książąt, rycerzy i świętych polskich Było wreszcie miasto, w którym osiądą i w którym zapuszczą na nowo korzenie polskości.

Przebyli pierwszy most w cichym, niemal pobożnym skupieniu, a w sercach ich wzbierała radość i ogromne szczęście, którego choćbyś chciał nie ujmiesz w słowa. Pęd do ziemi i do spuścizny przodków jest niezgłębiony i... wiecznie żywy.

ALEKSANDER ROGALSKI

Główne rysy literatury angielskiej

Kultura brytyjska odrębna, inna jest od naszej, kontynentalnej. Ta odrębność i inność w pełni zawierają się w literaturze.

Literatura angielska należy do najbogatszych literatur europejskich, a jeżeli idzie o poezję, to w żadnym kraju Europy nie osiągnęła ona takich szczytów, tak wspaniałego i bujnego rozwoju, jak właśnie w Anglii i tylko dwie literatury na całym świecie można pod tym względem zestawiać z angielską, a mianowicie indyjską i starogrecką. I to jest rzecz niezwykła, jeśli zważy się narodowy charakter angielski, który jest najbardziej zręczny, obrotny, sprytny, konkretny, przedsiębiorczy, zdobywczy jak tylko można sobie wyobrazić, a więc zdawałoby się najmniej poetyczny. A jednocześnie ta sama dusza angielska jest najbardziej podatną do najsubtelniejszych wzruszeń, jest najbardziej czułą, tkliwą, melancholijną. Otóż to połączenie pierwiastka realnego z nadzmysłowym, najgrubszej prozy z najzwiewniejszą poezją, interesu z marzeniem, stanowi tajemnicę kultury i literatury angielskiej. Tajemnicę, którą tylko częściowo rozjaśniają dzieje kształtowania się narodu angielskiego, powstałego z osobliwego stopu tak różnych ilościowo i jakościowo pierwiastków, jak celtycki, anglosaski, normandzki, wreszcie francuski. Poetyczny duch dawnych Celtów połączył się w ciągu długiego procesu asymilacyjnego ze zdobywczym duchem potężnych i prawie jedynych władców Europy w jedenastym wieku, Normanów, i wydał wreszcie istotę pełną najdziwniejszych kontrastów i sprzeczności, w nadzwyczajny sposób jednak zharmonizowanych: duszę angielską.

Niemałą również rolę w kształtowaniu się duszy angielskiej grały czynniki geograficzne i klimatyczne. Pierwsze obdarzały ją uczuciem niezależności, dystansu, dumy, drugie pogłębiły w niej żywioł marzycielski i fantastyczny: mgła angielska, spowijająca wszystko gęstą zasłoną, zacierająca kontury rzeczywistości, zmieniająca realny świat w cudowną krainę snów i baśni, czyż mogłaby nie stanowić jednego z zasadniczych czynników kształtowania się duszy angielskiej w zakresie wrażliwości estetycznej?

Jej istotę odnajdujemy już u pierwszego narodowego poety angielskiego, u Chaucera z XIV wieku. Jego „Opowieści z Canterbury" ujawniają już w całej pełni to, co stanowi rdzeń poetycznego ducha angielskiego: miłość do natury, delikatną, uduchowioną, melancholijną, jaką tylko u Anglików spotkać możemy. Odtąd cała poezja angielska będzie jedną gamą kształtów, barw i melodii. Jeżeli tajemnica poezji leży w zjednoczeniu najgłębszym i braterskim człowieka z wszechświatem, to poezja angielska jest jednym wielkim hymnem wielbiącym tę harmonijną jedność.

Żywioł poetycki panuje u największego dramaturga świata, Szekspira, który wyraził swą duszę wieloraką, zrozpaczoną, zwycięską, zaczarowaną i tragiczną, we wszystkim czego się tknął, w błaźnie, jak i w zranionym jeleniu, w zabitym dziecku, jak i w duchach powietrznych, w Hamlecie czy Juliuszu Cezarze, a najbardziej w cudownej baśni, jedynej, jaka mogła wyjść z wyobraźni ludzkiej — w „Śnie nocy letniej".

Trudno wymienić wszystkich innych poetów angielskich, ale nie można pominąć trzech poetów romantycznych, przyjętych entuzjastycznie przez całą Europę: Byrona, Shelleya i Keatsa. Buntownicza, niespokojna, rewolucyjna poezja pierwszego była jakby wyrazem ducha tego czasu, pełnego największych wydarzeń i niepokojów, ustawicznych buntów i ustawicznych rewolt (czasy Napoleona, powstanie greckie). Nikt zaś tak jak Shelley nie oddał bolesnych wzruszeń duszy kosmicznej, która żyje wśród gwiazd, błądzi wśród chmur, wzbija się w przestworza z chyżością skowronka i upada złamana na ciernie życia. Żaden wreszcie artysta tak jak Keats nie sławił melancholii serca, pachnącej miodem, złowionym w czasie jesiennych przechadzek. Poezje Shelleya i Keatsa stanowią dwie skarbnice, których nie zdołała wyczerpać jedna epoka, i literatura angielska nie mogła niczego bardziej rzadkiego ofiarować światu.

Lecz aczkolwiek dziedziną, która stanowi chlubę literatury angielskiej, jest poezja, są jeszcze inne tytuły do jej wielkości. Anglicy położyli wielkie zasługi w rozwoju nowoczesnej powieści. Któż z nas w dzieciństwie nie zaczytywał się zachwycającymi „Podróżami Guliwera", których autorem był samotny i nieszczęśliwy Swift. Komu z nas wyobraźni nie rozpalał „Robinson Cruzoe", ta powieść zdolnego dziennikarza, pamflecisty i polemisty, De Foe'go, która dzięki swemu silnemu pierwiastkowi energii i zwycięstwa nad rzeczywistością oddaje tak doskonale geniusza angielskiego? A potem trzej pisarze mniej popularni, lecz również wybitni jak Fielding, jeden z twórców powieści, jak Richardson, pierwszy z wielkich pisarzy swojego czasu, który przyczynił się do rozszerzenia strumienia wrażliwości literackiej, jak Sterne, u którego uczucie łączyło się z przenikliwą analizą psychologiczną.

Czy można też pominąć ten fakt, że Anglicy dali nam powieść historyczną? I że gdyby nie Walter Scott, ojciec powieści historycznej, nie mielibyśmy „Trylogii" Sienkiewicza a nawet do pewnego stopnia „Pana Tadeusza" Mickiewicza, gdyż arcydzieła te powstały z nasienia walterscottowskiego? Czy można wreszcie zapomnieć o Dickensie, tym najbardziej angielskim pisarzu z wszystkich pisarzy angielskich, który w wyjątkowy sposób wyrażał zasadnicze właściwości charakteru swojego narodu: uczuciowość, humor, ów przysłowiowy „uśmiech przez łzy", moralizatorskość, altruizm, ukochanie pracy i rodziny? Wszak w jego „Maleńkiej Dorrit", w jego „Dawidzie Copperfield", w jego „Opowieściach wigilijnych", w jego „Klubie Pickwicka" żyje pełnym życiem Anglia jowialna, zakochana w dobrym jadle i w dobrym wypitku, w parandolach i kontredansach, kraj dyliżansów, kurantów, gęsi na Boże Narodzenie i pocałunku pod jemiołą, świat w którym panuje optymizm, dobry humor i dobra wola!

Kończąc nie można nie przypomnieć wyjątkowego wypadku stopienia się literatury, a szerzej mówiąc kultury polskiej z angielską. Mamy tu na myśli oczywiście twórczość Józefa Conrada Korzeniowskiego, który żeglując po obcych morzach i oceanach koił tęsknotę do dalekiej a nieszczęśliwej Ojczyzny, Polski (gdzie się jako dziecko wychowywał), a później zabłysnął na firmamencie współczesnej literatury angielskiej jako jej jedna z najwspanialszych i najświetniejszych gwiazd.

Srebrny posąg św. Jerzego z domu „Czarnogłowych" w Rydze pocz. XVI w.

ZYGMUNT SWIECHOWSKI

Św. Jerzy w kąpieli

Działo się to ostatniego lata przed wojną. Znudzony monotonią pensjonatowego życia na ryskim wybrzeżu, wróciłem do stolicy Łotwy, którą znałem pobieżnie tylko z paru przelotnych wizyt. Zacząłem zwiedzanie splątanego gąszczu staromiejskich uliczek bez planu i przewodnika, mając smukłe iglice wież św. Piotra i Jakuba za jedyne drogowskazy. Pod sklepieniami średniowiecznych kościołów cisza panowała i miły chłód. Wabiły tajemnicze przejścia i ustronne podwórka patrycjuszowskich kamienic, pociągała wzrok malownicza sylweta siedziby słynnego bractwa „Czarnogłowych". Któregoś dnia, chcąc odszukać renesansowy portal w dobrze, jak mi się zdawało, znanej dzielnicy, trafiłem na mały, zamknięty z trzech stron dziedzińczyk. Na środku rosły dwa rozłożyste kasztany, dookoła biegła galeryjka, wsparta na drewnianych, rzeźbionych słupach. Było dziwnie pusto i odludnie, tak, jak gdyby nikt tu od dawna nie mieszkał. Bogaty, umieszczony na ścianie kartusz herbowy z całym mnóstwem lwów i gryfów wskazywał, że było to podwórze wewnętrzne jednego z pałacyków, jakie budowali sobie w Rydze swego czasu bałtyccy baronowie. Wyjąłem aparat i, stąpając ostrożnie po zmurszałych stopniach, wiodących ku galeryjce, szukałem odpowiedniego punktu do zrobienia zdjęcia. Nagle za zabitym deskami oknem, o które się oparłem, dał się słyszeć jakiś szmer. Zaintrygowany zajrzałem przez szczelinę do środka. Wzrok gubił się w natłoku nieokreślonych kształtów, wypełniających wielką, sklepioną komnatę. Mrok rozjaśniała nieco jarząca się w głębi lampka naftowa, ustawiona na postumencie w kształcie kolumny. Człowiek w białym kitlu, siedzący obok, zdawał się pogrążony w jakimś zajęciu, wymagającym wielkiego skupienia. Oswoiwszy się z ciemnością, dojrzałem jakieś staroświeckie szafy i sekretarzyki, mnóstwo obrazów i pustych ram, porozwieszanych na ścianach lub walających się w bezładnych stosach na ziemi. Olbrzymia porcelanowa waza, dywany i kilka zbroi dopełniało umeblowania tej malowniczej rupieciarni. Przekonany, że natrafiłem na magazyn sklepu antykwarskiego, albo mieszkanie dziwaka kolekcjonera, postanowiłem dostać się do środka i obejrzeć pod jakimś pozorem te wszystkie graty, wśród których mogły się znajdować rzeczy interesujące. Stukanie w drzwi nie przyniosło żadnej odpowiedzi. Nacisnąłem więc klamkę i znalazłem się w zatłoczonej i mrocznej sieni. Szerokie przejście z wyszarpaną futryną prowadziło do oglądanej przed chwilą komnaty. Człowiek w kitlu widoczny był teraz z boku. Siwa bródka i okulary w złotych ramkach nadawały mu wygląd profesora gimnazjalnego starszej generacji. Przed nim stały sztalugi z rozpiętym na podramku obrazem. „Profesor", uzbrojony w wielką lupę, badał centymetr po centymetrze powierzchnię płótna, dotykając go od czasu do czasu z lekka końcem pędzla. Podszedłem bliżej. Staruszka aż podrzuciło, gdy mnie zobaczył, ja za to skamieniałem: na sztalugach zobaczyłem najdziwniejszy w świecie obraz. Od góry była to powabna kobietka w osiemnastowiecznym kapeluszu z piórami, od dołu dostojnik w szatach kościelnych, trzymający w zgrzybiałej ręce coś, co od dołu było pastorałem, a od góry laską pasterską, przybraną kwiatami. Zrozumiałem — znajdowałem się w warsztacie fałszerza antyków. Widząc niepokój na twarzy gospodarza, odezwałem się możliwie jak najłagodniej: „Jestem cudzoziemcem, wyjeżdżam jutro i może pan liczyć na całkowitą dyskrecję, jeśli wolno mi będzie zwiedzić całą pracownię". W tej chwili rozległo się pukanie. Usunąłem się prędko poza obręb światła, za masywną serwantkę. Ktoś wbiegł drobnym kroczkiem. „Panie Vermeulen, drogi panie Vermeulen — wołał już od progu — musi mnie pan poratować". Usłyszałem szelest rozwijanego papieru i aprobujący głos fałszerza: „Niezły, zupełnie niezły, wygląda na szkołę Ruisdael'a, ale, do licha, co mam z nim zrobić?" „Obrazek dosyć miły — brzmiała odpowiedź — ale nieco zbyt smutny. Ta pusta brązowa droga i smętne krzaczki na pierwszym planie, to zielonkawe niebo niełatwo znajdą amatora. Gdyby tak domalować trzodę, idącą do wodopoju, albo może lepiej damy i kawalerów na koniach, cena wzrośnie dwukrotnie. Właśnie za parę tygodni będzie u mnie premier M., chce coś bogatego i reprezentacyjnego do salonu..." Intonacja ostatnich słów wydała mi się dziwnie znajoma. Wychyliłem się z lekka i ujrzałem charakterystyczny profil pana Z., jednego z ryskich antykwariuszy, który zachwalał mi kilka godzin przedtem fałszywego Fragonarda i takiegoż Teniersa. Chwilę później rozpytywałem starego fałszerza o szczegóły metamorfozy, jakiej miał ulec obraz. Rozmowę przerwał silny huk w sąsiednim pokoju. „To mój syn pracuje przy meblach — oświadczył niewinnie staruszek — ładunek kaczego śrutu zastępuje nam wiekową pracę korników." Przeszliśmy obok, do wielkiego pokoju, zasnutego smugami niebieskawego dymu. Młody człowiek, ubrany w bluzę z zakasanymi rękawami, stał przy kolosalnej gdańskiej szafie, nacierając jakąś tynkturą jej ściany, upstrzone mnóstwem czarnych otworów. Na środku pokoju, na tle wielkiego komina, ustawiony był posąg św. Jerzego, świeżo widać wykonany, jak na to wskazywał stos strużyn i porozrzucanych narzędzi. Święty wpierał się mocno opancerzonymi stopami w cielsko groteskowego smoka. Prawą rękę, uzbrojoną w miecz, miał wzniesioną w górę, grożąc śmiertelnym ciosem, w lewej trzymał małą tarczę, w której straszydło zatapiało zęby z bezsilną wściekłością. „Ostatnia praca mego syna — usłyszałem nabrzmiały dumą głos. — Czeka nas jeszcze poważna robota — rzeźba musi wyglądać tak, jak gdyby stała przez stulecia w ciemnym wnętrzu kościelnym, narażona na wilgoć i przenoszona z miejsca na miejsce." Mówiąc to, uderzył młotkiem, utrącając kawałek ręki świętego rycerza. Ojciec i syn przyglądali się przez chwilę z uwagą okaleczonemu posągowi. „Teraz na 10 godzin do kąpieli" — zadecydował stary Vermeulen, otwierając w podłodze basen, z którego zaczęła się rozchodzić ostra woń chemikaliów. „Powędzi się jeszcze trochę w kominie — dodał — i sądzę, że każdy będzie go uważał za rówieśnika czterechsetletniego św. Jerzego z Domu Czarnogłowych."

Zmierzchało już i zapalały się kolorowe światła neonów, gdy opuszczałem zakonspirowaną pracownię na starym mieście.

Upłynęło kilka miesięcy. Wypadki wojenne zatarły wrażenia wędrówki po Nadbałtyce. Toteż nie spodziewając się rewelacji otwierałem pakiet, zaopatrzony znaczkiem z dwoma lewkami i napisem „Latvija". Pakiet zawierał najnowsze ryskie publikacje z zakresu historii sztuki, przysłane mi przez przyjaciela. Na pierwszej stronie jednego z grubych zeszytów powitała mnie duża reprodukcja św. Jerzego dłuta Vermeulena juniora. Poniżej widniał tytuł artykułu profesora K. z Dorpatu „Nieznane arcydzieło plastyki średniowiecznej w Rydze."

FRANCISZEK FENIKOWSKI (Godło „Kłobuk", Poznań)

Cena krwi

Drukujemy dzisiaj jedno z opowiadań, wyróżnionych poza konkursem.

Około północy obudziło Bogumiła Prabuckiego mocne pukanie w okiennicę. Niechętnie podniósł powieki, ciężkie jeszcze głębokim, pierwszym snem. W pokoju panował mrok, tylko przez serduszka, wycięte w okiennicach, sączyły się dwie smugi księżycowego srebra. Sprzed domu dochodziło wołanie:

— Panie doktór!

— Trzeba wstać — pomyślał niechętnie lekarz. — Żeby też choć raz pozwolili mi się wyspać! Uparli się, psiakrew, chorować w nocy! — Zerwał się z łóżka, otarł dłonią z twarzy resztki snu i otworzywszy okno zapytał:

— A co tam?

— Od chorego z Wiłajek.

— Zaraz wyjdę!

Szybko narzucił ubranie, zabrał walizkę z podręczną apteczką i wyszedł przed dom. Czekał tam za niego krępy chłop, którego nieogolona twarz skrzyła się w księżycu siwiejącym zarostem. Na drodze, opodal, stał lichy wózek, zaprzągnięty w apatyczną, wychudzoną klacz.

Bogumił siadł na wóz i zapytał o pacjenta. Ze skąpych, niechętnych odpowiedzi woźnicy dowiedział się w końcu, że chory jest „dziewczak", mieszkający wraz z matką kątem u niego, bo ojciec nie wrócił z wojny, a zagroda zabrana przez innych. Lekarz, zniechęcony małomównością Mazura, nie stawiał dalszych pytań. Rozsiadł się wygodnie na worku, wypchanym słomą, i spojrzał poza siebie.

Piaszczysta droga, jak biała, wyciągająca się z ciemności ręka, odpychała coraz dalej dwie zagrody, przyczajone na skraju lasu nad jeziorem. Lustro wodne, błyszczące w ramach trzcin i tataraku, odbijało czerwonawy księżyc, a dwa domy szarzejące nad brzegiem zdawały się parą trwożnych zwierząt, które nocą wyszły z czarnego boru do wodopoju.

Prabucki patrzał nienasycenie na ten pełen groźnego piękna pejzaż swej rodzinnej ziemi, jakby stworzony na tło posępnej ballady.

Wrócił tu dopiero przed kilku tygodniami po sześciu latach doli, twardej jak pięść prusacka. Były żołnierz niemieckiej armii, dezerter i więzień obozów koncentracyjnych Rzeszy, poznał smak goryczy, którego nie zdołał zetrzeć mu z ust niedługi zresztą powojenny odpoczynek we Francji i Włoszech. Uparty, jak każdy tutejszy człowiek, wyrosły, jak sosna, z mazurskich piachów, powrócił do swego domu, choć mu proponowano objęcie ośrodka zdrowia w pobliskim miasteczku. Wolał pracować tu, na placówce, w której obronie padli jego najbliżsi.

W ostatnich czasach wiele się zmieniło w tej okolicy. Zniknął ze wsi kamień plebiscytowy z czarnym krzyżem, zniknęli opasły Gemeindevorsteher Pg. Czischick wraz z patriotycznie nastrojonym pastorem Preussem. Z domu Prabuckich uciekli rządzący się w nim po wypędzeniu matki Bogumiła sąsiedzi Skowronowie. W ich własnej chacie, stojącej tuż obok rodzinnej zagrody lekarza, gospodarzyli już jacyś repatrianci zza Bugu.

— Skowronowie! — lekarz patrząc na oddalający się ciemny zarys dwoch domów bezgłośnie powtarzał to nazwisko z nienawiścią, która nawarstwiała mu się od dawna w sercu. Pamiętał dobrze dzień, kiedy jako czteroletni chłopiec szedł tą samą piaszczystą i koleistą drogą za trumną swego ojca, zabitego podczas plebiscytu przez Otto Skowrona z powodu goszczenia „polskich agitatorów". Pamiętał, jak bezkarnie odgrażał się potem morderca chodząc co wieczór koło ich domu ze strzelbą, że wszystkich „Polokow" tak powystrzela. Pamiętał ciosy kamieni i wyzwisk, jakimi obrzucały go w drodze do szkoły dzieci sąsiada.

Nie mógł nigdy zapomnieć, jak kiedy przyjechał z uniwersytetu na pierwsze wakacje do matki, najmłodsza z rodziny Skowronów, trzyletnia Erna, podniosła na niego kamyk i sepleniąc dziecinnie powtarzała:

— Velfluchtel Pollacke!

Te nabrzmiałe nienawiścią słowa w ustach małego dziecka wywarły na nim niezatarte wrażenie. Młody student postanowił zaraz po uzyskaniu lekarskiego dyplomu osiąść tu w Prusach i poświęcić wszystkie swe siły ratowaniu polskiej krwi i człowieczeństwa Mazurów. Wrzesień 1939 nie pozwolił Bogumiłowi wprowadzić w życie tych planów. Popędzono go na front, a potem, po próbie ucieczki, zamknięto w obozie. Matkę na nowy donos Skowronów, jako wdowę po plebiscytowym działaczu, wypędzono z domu i aresztowano. Zmarła w olsztyńskim więzieniu. Cień Skowronów, który padł na dzieciństwo Bogumiła, znowu przekreślił jego młodzieńcze zamierzenia.

Lekarz skamieniał w chęci zemsty. Dopytywał się zaraz po przyjeździe o sąsiadów, lecz nikt nie umiał mu powiedzieć, co się z nimi stało. Czuł jednak podświadomie, że prędzej czy później spotka się z nimi i wtedy każe zapłacić Ottonowi cenę krwi swego ojca. — Jaka jest właściwa cena krwi? — zastanowił się. — Czy tylko krwią można za krew zapłacić? — Pogrążył się w myślach, z których wyrwał go dopiero turkot kół wozu na nierównym bruku drogi w Wiłajkach.

Wjeżdżali do wsi, zniszczonej podmuchem wojny. Kasztany, stojące w pękach świec swego kwiecia, i krzewy dzikiego bzu starały się zasłonić rany, zadane domom przez armatnie pociski. Psy zajadle oszczekiwały przybyszów. Mineli kilka zniszczonych obejść, wresz-

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

Dr Jerzy Młodziejowski

Polacy na szlakach świata

Chodźko na Araracie

Na niezwykle płaskiej, szerokiej i — zda się — bezkresnej równinie, którą Araxes szerokim zakolem od północy obejmuje, pną się w przeważnie czyste niebo dwa, nierównej wysokości wierzchołki Araratu. Wschodni jest o wiele niższy (3893 m), zachodni, to właśnie owa „biblijna góra Noego" — Wielki Ararat (5143 m). Wyższego szczyt niemal zawsze czapą śniegu i lodów pokryty. Z dawna to wygasły wulkan. Stoki jego prawie wszędzie regularne. Jedynie ku Aralikowi rozdarte „debrą" potwornych rozmiarów. Głęboko w stoki wcięta dolina jest niewątpliwie wul-

kanicznego pochodzenia. Zbierają się na jej dnie strumienie, które okresowo dostarczają wody Araxesowi. Cokół skalny, na którym wyrastają w niebo dwa wierzchołki opada łagodnymi stopniami na wszystkie strony świata. Pomiędzy Wielkim a Małym Araratem legła przestrzeń 12 kilometrów. Względna wysokość najwyższego wzniesienia araratowego sięga bez mała 4000 m. Nic więc dziwnego, że wierzchołek z daleka i ze wszystkich stron doskonale widoczny — świeci nocami bladym światłem szczytowych lodów. Mickiewiczowska „lampa Aladyna"!

Święta góra Ormian. Legendami otoczona, opowieściami trzech tysięcy z górą lat dookoła owita. Stoi owa samotna strażnica pomiędzy trzema państwami: **Związkiem Sowieckim, Turcją i Persją.** Tysiące pokoleń wychowały się i legły w ziemi, patrząc na bielejący na tle nieba wierzchołek. Niewielu ludzi stopy osiągnęły po utrudzającej wędrówce szczyt, z którego widno chyba tysiące kilometrów kwadratowych.

*

Józef Chodźko, syn Jana i Klary z Kosaków urodził się w dniu 6 grudnia 1800 roku w Krywiczach pod Wilnem W 16 roku życia wstąpił na Uniwersytet Wileński i tam zapisał się na wydział fizyko-matematyczny, słuchając wykładów wyższej matematyki u Niemczewskiego i algebry u Polińskiego. Poliński właśnie był powrócił z zagranicy i rozpoczął cykl wykładów z geodezji, która szczególnie przypadła do gustu Józefowi Chodźce. Zainteresował się też intensywnie tą dziedziną wiedzy. W swym pamiętniku z czasu studiów pisze następujące słowa o swych profesorach i współkolegach „...tak znakomite grono mężów głębokiej nauki oczywiście wzniosło wysoko szlachetny do nauki zapał młodzieży. Dosyć powiedzieć, że właśnie kończył nauki Adam Mickiewicz... jedynie spółtowarzysze przewidzieli czem będzie on w przyszłości a profesorowie, nawet Jan Śniadecki... nie odgadli przyszłej wielkości nieśmiertelnego poety..." Ponieważ w roku wstąpienia Chodźki na uniwersytet (1816) zaczęto w Rosji pod przewodem generała Tannera triangulację a „pomocników" brakło, przeto generał rozpoczął poszukiwanie ich na uniwersytecie wileńskim. Chodźkę zarekomendowali mu profesorowie — głównie Jan Śniadecki — a gdy młody magister filozofii wstąpił do czynnej służby wojskowej, już w 1823 roku mianowano go chorążym sztabu generalnego. Jak wynika z życiorysu Chodźki, pióra B. Zwolskiego (Polski Słownik Biogr. Tom 3, Kraków 1937) Chodźko współpracował we Wilnie z Tomaszem Zanem nad założeniem „Promienistych". Był członkiem „Towarzystwa Sześciu" a od grudnia 1820 roku należał do Filomatów. Zajmował się w grupach uniwersyteckiej młodzieży repetycjami kursów algebry i fizyki. W roku 1831 przygotowywano na Wileńszczyźnie powstanie i Józefowi Chodźce zaproponowano objęcie kierownictwa tegoż powstania w Wilnie. Chodźko się na to zgodził ale prosił o utrzymanie zgody w tajemnicy. Nieostrożność jednego z młodszych kolegów sprowadziła podejrzenia w stosunku do Chodźki. Odwołano go natychmiast z robót terenowych na Żmudzi i oddano pod ścisły nadzór. Wysłany zrazu do Mołdawii i na Wołoszczyznę, przeniesiony został nad Bosfor. W sumie pod kierunkiem Tannera spędził około ośmiu lat na pomiarach na Wileńszczyźnie, zanim niemal „karnie" przeniesiono go w odległe strony. Warto na tym miejscu nadmienić, że wszystkie pomiary Chodźki odznaczały się niezwykłą dokładnością, za co ceniono młodego geodetę nad podziw. W roku 1833 mianowany sztabs-kapitanem jedzie na Bosfor pod rozkazy Murawiewa. I ten wyrażał się szczególnymi superlatywami o goedezyjnych zdolnościach Chodźki. Awans szedł szybko i w roku 1840 już jako podpułkownik — zjawia się Chodźko w krajach kaukaskich na stały pobyt. W siedem lat później mianowany pułkownikiem rozpoczął systematyczną triangulację Zakaukazji. Ukończył ją w roku 1853. Rezultaty tych sześciu lat wytężającej pracy były wspaniałe. Nie licząc się z trudami pobytu w wysokich górach, w wiecznych śniegach a nierzadko i w otoczeniu lodowców, pracował Chodźko z niezwykłą energią. Ponad 700 punktów opracował osobiście, wyznaczając ich położenie geograficzne i wysokość. Znał dobrze Kaukaz i niejeden w nim szczyt odwiedził dla celów pomiarowych. W sierpniu 1850 roku wydostał się na Ararat! Następne lata widzą Chodźkę na terenie Turcji Azjatyckiej. Pomiędzy rokiem 1855 a 1865 kierował wydziałem topograficznym na Kaukazie i przeprowadził triangulację Dagestanu oraz krajów na północ od łańcucha kaukaskiego. Otrzymał „Wielki złoty medal Konstantynowski" po ukończeniu triangulacji północnego Kaukazu od Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu. W roku 1872 toż samo Towarzystwo mianowało Chodźkę swym członkom honorowym. Również członkostwo honorowe ofiarował mu słynny Francuski Klub Alpejski. Rozprawki naukowe i opisy podróży Chodźko ogłaszał w prasie rosyjskiej i zagranicznej. Do końca niezmiernie pracowitego życia pozostał w pełni sił fizycznych i umysłowych. Stale podkreślał swą polskość. Zmarł w wieku 81 lat, w dniu 5 marca 1881 roku w Tyflisie. Pochowany na tamtejszym cmentarzu katolickim.

„...nareszcie o godzinie dziesiątej z rana stajemy u podnóża cypla Araratu. Utkwiłem tymczasowo w stwardniałej skorupie śniegu krzyż... natychmiast każdy, odkrywszy głowę, pomodlił się szczerze wobec godła wiary chrześcijańskiej, ustawionego po raz pierwszy na Górze Biblijnej! Po dostarczeniu narzędzi należało rozwiązać trzy zadania: 1. ustawienie teodolitu..., 2. urządzenie obozowiska, ponieważ trzeba było przesiedzieć tu przeszło trzy noce... 3. żywność... kaszowar warzył, jak mógł krupnik; wodę mieliśmy ze śniegu, herbatę na samowarze. Wina zamarzły, nie zdały się więc na nic; pijemy porter rozcieńczony wodą gorącą albo spirytus winny, dobrany wodą śniegową... stan barometru i psychrometru zapisywaliśmy kolejno co godzina... ze sobą mogliśmy zabrać bardzo mało żywności a więc żołnierze zaopatrywali nas, znosząc codziennie chleb, węgle itd. Pomagała im w tym ludność wiosek armeńskich i muzułmańskich. Armeńczycy przybywali zwykle pomiędzy godziną drugą a trzecią. Podchodzili do stóp krzyża, przecierali oczy dla przekonania się, że panując nad całym widnokręgiem stoją w rzeczy samej na punkcie najwyższym i modlili się, ukląkłszy nabożnie... Nieszczęśliwy astronom nasz (kapitan Aleksandrow) zmarł w kilka tygodni później w Erywaniu, przepłaciwszy życiem sławę zmierzenia na miejscu wysokości Wielkiego Araratu... na skrzyżowaniu ramion (krzyża) przybito blachę miedzianą z napisem w języku rosyjskim... dwudziestego czwartego sierpnia o godzinie dziesiątej z rana wchodzę na szczyt wschodni dla wymierzenia położenia geograficznego; nareszcie o godzinie drugiej zaczynamy schodzić na dół... pięć dni trzeba było stracić na marsz pod górę; trzy godziny wystarczyły do zejścia... po powrocie do obozu nogi miałem tak nabrzmiałe, że trzeba było rozcinać buty przy zdejmowaniu... zaledwie po upływie mies ąca czasu przyszedłem zupełnie do siebie...".

Oto fragmenty relacji J. Chodźki z osiągnięcia „Biblijnej Góry".

Józef Chodźko

Wieczerza w Emmaus — słynny falsyfikat van Meegerena, wykonany w stylu XVII-wiecznego mistrza holenderskiego Vermeera van Delft

---

cie zajechali na jakieś podwórze. Mazur zatrzymał konia i pokazał drogę do chałupy murowanej, ale krytej słomą.

Lekarz schylając we drzwiach głowę wszedł do sieni. Przez uchylone drzwi od izby dolatywał płacz kobiecy. Prabucki przekroczył próg. Siwa kobieta, klęcząca przy łóżku, podniosła głowę:

— Ach Herr... pon doktór! Ratujcie! Już przestaje dychać — powiedziała załamującym się głosem ze łzami w przekrwionych oczach. Lekarz podszedł do chorej. Była to kilkonastoletnia, wychudzona dziewczyna. Leżała bezprzytomna. Bladą jej twarz otaczały rozsypane na poduszce, jasne, pozlepiane potem włosy. Pierś nie poruszała się najlżejszym oddechem.

— To wasza córka? — zapytał.

— Jo! — odpowiedziała. — Ratujcie ją, panie doktór! Ich hab'schon alles verloren... — Wszystko straciłam — poprawiła się szybko. — Chłopa, gospodarkę, synów... Ona mi jedna została.

Doktor Prabucki dotknął rąk dziewczyny. Były zimne. Zbadał serce. Nie biło już. Nie stracił jednak nadziei. Zdawało mu się, że rozpoznaje typowe objawy zapaści, nagłego zaniku sił, spowodowanego osłabieniem serca, przy szybkim spadku temperatury. Zastrzyk z adrenaliny powinien pomóc. Na szczęście miał z sobą ten środek. Otworzył walizkę i zaczął szukać wśród lekarstw.

— Podajcie mi tu światło — powiedział do starej. Posłusznie podreptała do stołu i wzięła okopconą lampę naftową. Cienie przebiegły po ścianach izby.

— Prędzej! — niecierpliwił się Bogumił. — Muszę zrobić zastrzyk. Nie mam minuty do stracenia!

— Siwa kobieta wyciągnęła dłoń z lampą i oświetliła żółtym światłem pociągłą twarz lekarza. Teraz dopiero przyjrzała jej się bacznie. Nagły skurcz przypomnienia przebiegł jej oblicze. Zmarszczył czoło i wyżłobił dwie bruzdy koło ust, z których wydarły się zdławione słowa:

— Jessus! To ty Gottlieb?

Prabucki odwrócił ku niej oczy, zdziwiony. „Gottlieb" — pamiętał — tak wołano go w szkole, tak nazywały go dzieciaki, rzucające kamieniami, tak pisano imię jego w denuncjacjach. Przypomniał sobie teraz, do kogo należał głos starej Mazurki. Słyszał go często od wczesnego dzieciństwa. Dobiegał go wtedy swarliwy i głośny zza płotu sąsiedniego obejścia. Głos Skowronowej.

— A więc chora dziewczyna to Erna! — przebiegło mu przez myśl. — Mała dziewczynka w słońcu, trzymająca się jedną ręką płotu, a drugą rzucająca na niego kamyki i słowa: „Velfluchter Pollacke", córka mordercy jego ojca. Czy ją ratować? — zawahał się tylko na chwilę. Twarz jego zakrzepła decyzją.

Wziął do ręki strzykawkę. Skowronowa przeraziła się. Zatargało nią straszne podejrzenie.

— Gottlieb! Nie mścij się! — zajęczała z rozpaczą.

Bogumił zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

— Proszę mi nie przeszkadzać! — rzucił zimno.

— Panie doktór! — zawodziła stara. — Pon jej nie zabiją?

— Jestem lekarzem! — odrzucił twardo — i nie Niemcem!

Pochylił się nad Erną. Lampa w ręku matki drżała. Chybotały cienie nad łóżkiem chorej. Lekarz odgiął jej rękaw i zagłębił w ciało igłę. Ostrożnie pobrał krew i wraz z 0,00001 adrenaliny dosercowo wstrzyknął ją chorej. Nie myślał już o zemście. Patrząc, jak tłok strzykawki wsącza życie w serce młodej Skowronówny, szepnął z ironią:

— Cena krwi! Moja cena krwi!

Wieczór autorski Jerzego Zawieyskiego

zorganizowany przez „Czytelnika"

Wieczory autorskie organizowane przez „Czytelnika" mają już swoją mocną, choć jeszcze niezbyt dawną tradycję i wśród publiczności znajdują zawsze żywy rezonans, zbliżając i zapoznając zarazem bezpośrednio wybitnych autorów i literatów ze swymi czytelnikami. Po Bąku, Brezie, Iwaszkiewiczu, Gołubiewie, Grzymale-Siedleckim przedstawił się publiczności poznańskiej wybitny współczesny dramaturg i powieściopisarz katolicki Jerzy Zawieyski, przyjęty owacyjnie przez audytorium.

Po zagajeniu zastępcy naczelnika Wydz. Kult.-Oświatowego delegatury „Czytelnika" w Poznaniu — p. F. Krzyżaniak zabrał głos sam autor głośnego „Rozdroża miłości", starając się „zdekonspirować" — jak sam zaznaczył — pewne cechy własnego warsztatu pisarskiego, co udało mu się w całej pełni w sposób nader naturalny i sugestywny. Była to swego rodzaju spowiedź pisarza a zarazem typowa próba wniknięcia w tajniki mechanizmu twórczego, rzucona na bogatą kanwę własnego życia i reprezentowanego światopoglądu.

Po uwagach wstępnych wyrażających zastrzeżenia co do autorytatywności i omylności własnych mniemań i sądów w odniesieniu do problemu twórczości pisarskiej oraz po przytoczeniu szeregu wymownych dowodów na to z zakresu historii literatury polskiej i obcej (fiasko tzw. „szkoły genetyków" i amerykańskich ankiet, mających na celu zbadanie psychologii twórczości) — Jerzy Zawieyski zdefiniował pojęcie procesu twórczego pisarza (tzw. koncepcyjnego) „jako pewne quantum świadomości a zarazem tajemnicy", starając się określić bliżej predyspozycje psychiczne pisarza (np. miarę czasu powstawania dzieła, łatwość lub trudność pisania zależne od właściwości indywidualnych twórcy itd.), ilustrując słowa swe znów licznymi przykładami z literatury. Odrębność aparatury poznawczo-emocjonalnej artysty zależna jest od jego dwóch głównych dyspozycyj: talentu i natchnienia.

Z ogólnych uwag nad genezą powołania pisarskiego przeszedł Jerzy Zawieyski do niezmiernie ciekawych wywodów nad kolejami i rozwojem własnej twórczości od jej zarania, kiedy to poprzez wielką literaturę, którą się karmił już od 10 roku życia (dzięki specjalnemu zbiegowi okoliczności) i poprzez młodzieńczą aktywną działalność socjalistyczną o charakterze polityczno-społecznym jako członek TUR i instruktor wśród robotników Francji — rozpoczął stawiać pierwsze kroki pisarskie, wynosząc pierwszy emocjonalny impuls do tworzenia „lepszego świata". Dojrzewał on stopniowo w twardej szkole życia zarówno pod wpływem pilnej lektury i chrześcijańskiej filozofii francuskiej, jak i w krótkotrwałej, lecz nad wyraz owocnej „terminatorce" aktorskiej w teatrze „Reduta" — Osterwy, gdzie poznał Zawieyski dokładnie arkana sztuki scenicznej (stąd świetna dykcja autora). Nakreśliwszy pokrótce swą drogę intelektualno - humanistycznego samokształcenia przy pomocy życzliwych mu ludzi i lektury do zgłębienia zasad filozofii katolickiej — przedstawił Jerzy Zawieyski swoje „nawrócenie", które było zarazem odnalezieniem jego jako pisarza poprzez dwie pierwsze, oparte na zagadnieniu krzywdy społecznej, powieści: „Gdzie jechać, przyjacielu" i „Daleko do rana". Dla świeżo nawróconego „katechumena", uświadamiającego sobie powoli swoją misję pisarską — życie i człowiek w dobie narastających konfliktów świata przed wybuchem pierwszej wojny światowej — dostarczał szczególnie cennego materiału twórczego.

Z kolei Jerzy Zawieyski nakreślił swoje „credo" pisarskie koncentrujące się wokół dramatu istnienia ludzkiego w walce o swój światopogląd i w wydobywaniu się z upadków moralnych i kręgu własnych błędów. Ukazało to pośrednio wielość i skomplikowanie zagadnień stojących przed pisarzem katolickim, który by możliwie harmonijnie rozwiązywał postulat artystyczny wraz z ideowym, co jest zjawiskiem niezwykle trudnym i rzadkim. Stwierdziwszy, że literatura polska nie jest zasadniczo literaturą rdzennie katolicką, która szczególnie od końca XIX w. upodobała sobie kreślenie procesów degeneracyjnych i dekadenckich, Jerzy Zawieyski przedstawił dalekie perspektywy współczesnej twórczości katolickiej, pojmującej swe zadania jako apostolstwo słowa i przykładu ewangelicznego.

Twórczość ta, oparta o wielką tradycję myślenia, zajmuje konsekwentną postawę w dążeniu do dobra. Wspaniałym obrazem zaczerpniętym z własnych przeżyć a ujmującym lapidarnie przez usta prostego górala sąd o wartości człowieka — zakończył Jerzy Zawieyski swój pasjonujący wieczór autorski, nad którym pod przewodnictwem Wojciecha Bąka wywiązała się ożywiona dyskusja. Dorzuciła ona szereg nowych ciekawych przyczynków i szczegółów do twórczości Jerzego Zawieyskiego, który na zadawane pytania odpowiadał chętnie z ujmującą prostotą i szczerością. Świeżo na warsztacie ukończył autor właśnie dramat o Dawidzie pt. „Pieśń o nadziei" oraz dramat współczesny pt. „Miłość Anny", jakie powstały na przestrzeni ostatnich 14 miesięcy, a zapewne wkrótce ujrzą światło dzienne.

Niemniejszym powodzeniem cieszyły się wieczory autorskie Jerzego Zawieyskiego w Ostrowie i Pleszewie z Gorzowem na czele, który zgromadził ponad 600 słuchaczy.

TEODOR ŚMIEŁOWSKI

Szczecin

na drodze rozwoju kulturalnego

Dotychczas był Szczecin, pod względem życia kulturalnego — dzieckiem w powijakach (dzieckiem, które powinno było być benjaminkiem całego polskiego społeczeństwa). Tyle wysiłku trzeba było włożyć w zagospodarowanie się, w urządzanie portu, w odbudowę komunikacji i przemysłu, że na kulturę prawie nie stało oddechu. Teraz już i na nią pora przychodzi.

Ponieważ w miejscowym elemencie brak jest ludzi z doświadczeniem w organizowaniu życia kulturalnego i upowszechnianiu sztuki — Ministerstwo Kultury i Sztuki delegowało z Gdańska do Szczecina — Feliksa Smosarskiego, inspektora Gd. Woj. Wydz. K. S. — wybitnie zasłużonego w tej dziedzinie na Wybrzeżu. Radą swoją, doświadczeniem i zmysłem organizatorskim — pomaga miejscowym czynnikom do „postawienia kultury na nogi".

Dnia 1 marca otwarto małą scenkę przy Teatrze Polskim wyremontowaną kosztem 300 000 zł — zdobytych dzięki poparciu Pełn. Rządu dla Spraw Aktywizacji Gosp. w szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy. Na początek wystawiono: „Mąż i Żona" Fredry z udziałem Malickiej. Sztukę tę powtórzono po tym w 5 miastach powiatowych. Projektuje się podniesienie poziomu artystycznego Teatru Polskiego przez zaangażowanie nowych sił reżyserskich i aktorskich. Zamierzonym jest również stworzenie stałej ekipy objazdowej, której brak daje się wybitnie odczuć na terenie prowincji.

Związek Muzyków liczy 185 członków z czego 70 proc. nie ma stałego zajęcia. 20 lutego br. odbył się pierwszy koncert orkiestry Mozartowskiej — Robotniczego Towarzystwa Muzycznego. Składa się ona z 34 osób i dała do końca marca 12 bezpłatnych koncertów w rozmaitych zakładach pracy, co świadczy o jej wielkim społecznym nastawieniu.

Drugi zespół kameralny utworzył się przy Państwowej Szkole Muzycznej — głównie z grona profesorów. Stoi na dobrym poziomie i daje w swym programie muzykę poważną.

Aby ożywić działalność literacką na terenie Szczecina — na razie znikomą, czynione są starania ściągnięcia kilku młodych pisarzy na „osiedlenie się". W tym celu rozpoczęto już agitację w Zw. Zaw. Literatów. Czy da ona pozytywne wyniki — nie wiadomo jeszcze, bo prócz obietnicy płatnych posad jako kierowników świetlicowych — nie ma w Szczecinie wielkich widoków na utrzymanie się pisarza z pracy pióra. Ze spodziewanym przybyciem Andrzejewskiego na stały pobyt — nastąpi może korzystna zmiana.

Dla współpracy związków artystycznych i koordynacji pracy, powołano do życia Komisję Porozumiewawczą Międzyzwiązkową. Siedzibą jej będzie Świetlica Artystów, przeznaczona również dla zebrań i imprez nawiązujących kontakty artystów ze światem pracy i społeczeństwem. Coś w rodzaju słynnego „Klubu Artystów" zainicjowanego i prowadzonego z wielkim powodzeniem przez Feliksa Smosarskiego w Sopocie. Lokal świetlicy jest już prawie na ukończeniu. Nad ozdobieniem go pracują artyści plastycy, którzy tworzą ruchliwą i twórczą gromadkę w Szczecinie. Koszt budowy świetlicy wynosi przeszło milion złotych, połowa z tej sumy już jest zebrana.

Ogółem społeczeństwo i instytucje szczecińskie złożyły w roku bieżącym 1 189 000 zł na cele kulturalne. Jest to na razie maksimum, co się uzyskać dało i świadczy o wielkim samodzielnym wysiłku. Dalsza pomoc oczekiwana jest z Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Doskonałą akcją upowszechniania sztuki i nauki jest zorganizowanie cyklu wykładów z rozmaitych dziedzin kultury przez profesorów-fachowców sprowadzanych z Gdańska i Poznania. Choć program wykładów jest na razie jeszcze zbyt różnorodny i chaotyczny — jednak sam kontakt osobisty przez odwiedziny wybitniejszych jednostek z kraju — oddalonego Szczecina — wprzęgnie go mocniej w ogólny nurt życia kulturalnego Polski. ama

---

Dodatek tygodniowy „Świat" oraz forma podawania wiadomości i prac z zakresu zagadnień artystyczno-kulturalnych ulegną reorganizacji.

Bardziej szczegółowe wyjaśnienia w tej sprawie podamy w najbliższym czasie.

W świecie kobiety

W modnym „opalaczu"

można się pięknie, równo opalić. Parasol służy oczywiście, nie jako ochrona przed natarczywymi promieniami słońca, lecz jako efektowne tło...

MATKA

Motto: Piotr de Coulevein: „Nieznana wyspa". Ballada Richepin'a pod tyt. „La Glu" doskonale charakteryzuje duszę matki. Posłuchajcie jej! Glu żąda od swego kochanka serca jego matki dla swego... pieska. Kochanek zabija matkę i niesie jej serce swej kochance. Lecz biegnąc w pospiechu upada i upuszcza serce. I oto słychać jak ono, tocząc się po ziemi, mówi głosem pełnym łez: „Czy nie zrobiłeś sobie co złego, moje dziecko?"

Wszystko, co piękne, co mądre, co święte i drogie mieści się w tym jednym pojęciu — Matka! My, ludzie dorośli, znający dobrze jasne i ciemne strony życia, na dźwięk tego słowa wywołujemy z głębokim wzruszeniem i szczerą wdzięcznością wspomnienie tej, która kierowała pierwszymi naszymi krokami, która dbała, aby w pogodnej atmosferze domowego zacisza, dusza dziecięca nasiąkała dobrem i pięknem, a oczy nasze pełne były błękitu, kwiatów i słońca, która była naszym jedynym najszczerszym przyjacielem, towarzyszem zabaw dziecięcych, powiernikiem naszych pragnień młodzieńczych, marzeń i złotych snów... niespełnionych, doradczynią w chwilach przełomowych i pocieszycielką w ciężkich okresach niepowodzeń i zawodów.

Ileż to uczuć ludzkich legło pod bezlitosnymi uderzeniami obucha krytyki i analizy! Jedynie miłość macierzyńska jest nienaruszalna i nienaruszona. Taka miłość, która nie ma sobie równej — wielka, bezinteresowna, promienna i tkliwa, ofiarna, najżyczliwsza, najszczersza, pełna oddania bez miary i przebaczająca, święta, silna a pokorna, codzienna, bliska i zawsze gotowa, wszechpotężna, niezachwiana i otaczająca nas do ostatniej chwili. To przecież miłość nadludzka, niepojęta!

Tą miłością wypełnione serce matczyne kocha nas takich, jakimi jesteśmy — z całą nędzą naszą, z tym wszystkim nawet, co nas poniża i hańbi. Matce wypowiadamy wszystko, co mamy w sobie, z pełnym zaufaniem, bez trwogi, bez obawy, że nas kochać przestanie — usłyszawszy nasze grzechy i błędy. Ona nas zrozumie, domyśli się tego, o czym nawet nie wspomnimy, czego nie potrafimy powiedzieć. Wszak matka kocha nas więcej niż my ją kochać możemy, więcej niż nawet śmielibyśmy żądać. Na miłość matki liczyć możemy zawsze, nic nie odwiedzie jej od nas, ani wady nasze, ani słabości, ani brak wdzięczności z naszej strony. Bo w życiu na ogół tak się dzieje, że obarczamy matkę smutkami naszymi, zmartwieniami, bólem niepowodzeniami, a chwile szczęścia dzielimy świadomie lub nieświadomie z innymi. Serce dziecka jest okrutne już od chwili poczęcia — ciągle żąda i bierze, lecz matka godzi się z tym. Ona, dając nam wszystko, nie żąda w zamian niczego, obdarza — bez upokorzenia.

„Kto ma matkę, ten czuje się dzieckiem, kto czuje się dzieckim, ten wraca do matki" — więc dziś w dniu Matki, my duże, dorosłe dzieci, dajmy wyraz tej czci sakralnej, otaczającej macierzyństwo, wtulmy swą pełną trosk, umęczoną głowę w jej kolana, ucałujmy z szacunkiem i miłością jej dłoń troskliwą pracowitą i kochaną.

d. w. b.

Czy zabierać w podróż zabawki dziecka?

To proste, a tak częste pytanie powtarza wiele matek, stojąc przed napełnioną po brzegi walizką. Tyle jeszcze rzeczy dla dziecka należy zapakować, a w uszach mamusi brzmi ciągle prośba dziecka o zabranie również zabawek. I gdy się pomyśli, ile to słów i próśb będzie trzeba użyć, aby dziecku wytłumaczyć, że zabawki są zbędnym balastem w podróży, że mogą się zagubić lub zniszczyć, gdy się pomyśli, ile łez dziecko wyleje, słysząc te tłumaczenia — jest się w rozterce, i po raz wtóry powtarza się w myśli pytanie: zabrać, czy nie zabrać?

Jestem zdania, że matki powinny pozwolić dzieciom na zabranie — oczywiście nie wszystkich — lecz przynajmniej tych najulubieńszych zabawek, jakimi są lalka czy piłka. Dlaczego? Ależ oczywiście z tego względu, że podróż sama jako taka szczególnie na większą odległość jest bardzo nużąca. Oglądanie krajobrazów jest dla dziecka tylko w pierwszej chwili nowością. Potem zaczyna się ono kręcić, nudzić, oglądać nie wiadomo za czym. Toteż piłka, lalka czy inny ulubiony drobiazg będzie tym jedynym przedmiotem, mogącym rozproszyć jednostajność w podróży.

Między dzieckiem a lalką istnieje pewnego rodzaju stosunek macierzyński, podobnie jak zresztą w odniesieniu do innych przedmiotów. Czy nie znajdzie się w walizce małego kącika na umieszczenie tego przedmiotu dziecięcej radości? Wszak cieszymy się, patrząc, z jaką miłością dziecko odnosi się do swoich zabawek, szczególnie tych ulubionych. Dziecko czuje w podróży konieczność opiekowania się swymi towarzyszami zabaw, przemawia do nich jak do przyjaciół, pokazując mknące za oknem krajobrazy, udzielając wskazówek takich, z jakimi my się zwykle do dziecka zwracamy. Zatem fakt ten działa, również kształcąco na umysły dzieci, wyrabiając w nich pewną samodzielność, osobowość.

P. B.

Aforyzmy o Matce

Naród, który nie czci swoich umarłych, jest złym narodem. Naród, który nie ma szacunku dla swoich żyjących, skazany jest na zatratę. Ale naród, który nie szanuje swych niewiast, jest narodem umarłym. Przed matkami naszymi i kobietą ukochaną stać winniśmy w milczeniu, lecz jest to jeszcze zbyt lichą zapłatą.

*

Pierwsze uczucia matka w sercu dziecka budzi;
Mistrzowie kształcą uczniów, matka tworzy ludzi.

A. Krasiński

*

Matkę kocha się prawie bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, bo to przecież tak naturalne, jak życie samo. I człowiek nie dostrzega, jak głęboko sięgają korzenie tej miłości — aż dopiero w chwili rozłąki ostatniej.

Guy de Maupassant

Przed wyjazdem na wakacje

Zbliża się okres wakacyj. Wiele z nas wyjedzie z rodziną na wieś. Jakże inne jest lato na wsi, niż w mieście! Przyroda cała w barwach jaskrawych: od soczystej zieloności łąk kontrastowo odbijają białe, żółte, czerwone i niebieskie kwiaty, od srebra i złota zbóż — czerń lasów i błękit nieba i wody.

Na takim oto, bogatym w barwy tle zjawiamy się my, kobiety z miasta. Przyjeżdżamy na wieś, aby odpocząć po naszych różnorodnych zajęciach. Zostawiłyśmy w domu małe zeszyciki, pokryte dręczącymi znaczkami wydatków domowych, ale, niestety, musiałyśmy zapakować niezbędną receptę powszedniego dnia — oszczędność.

W myśl tej recepty, nie stać nas na sprawienie nowych toalet na wieś. Mamy zamiar nosić nasze codzienne suknie, lub, co gorsze, znosić wszystkie stare, niemodne.

Zjawiamy się więc zatartą sylwetą w naszych miejskich sukniach, które wśród szarych murów kwitły — wytwornością nikłego koloru. A nasze stare, niemodne ubrania wkładamy wraz z wspomnieniem wielu kłopotów i równą dozą złego humoru.

Przekolorowe tło lata chłonie nas i wydajemy się same sobie jak szare przepiórki, kryjące w prosie swój ubogi strój.

Najpiękniejsza nasza sukienka z wzorzystego jedwabiu, z wielkim trudem sprawiona, krępuje nasze ruchy i na domiar złego jest rozpaczliwa swą banalnością wśród otaczającej nas prostoty. Marzy się nam coś prostego w linii i świeżego w kolorze. Coś, co by zakwitło wraz z nami na zielonej łące, na przeciąg jednego lata. Jednym słowem — perkalik, kreton, krepon, markizeta lub płócienko w kwiaty — ładne i tanie. A fason jak najprostszy. Taki, który by nam pozwolił przeskoczyć rów lub płot na przechadzce, a jednak nie był brzydkim workiem.

A może my, kobiety z miasta, mogłybyśmy wskrzesić zamierzchłe piękno naszych strojów ludowych? Potrzeba nam tylko odwagi dla wstrzymania złośliwego uśmieszku, z którym łatwo możemy się spotkać. Uśmiech ten łatwiej będzie nam znieść, jeżeli uświadomimy sobie, że tylko u nas w Polsce jest dziwne niezrozumienie piękna stroju ludowego. Na Węgrzech, w Jugosławii — wszędzie w toaletach, najbardziej nawet eleganckich, zastosowuje się motywy ludowe. A ludowe stroje tyrolskie? Na całym świecie cieszą się dużą popularnością.

I nasze stroje regionalne budzą podziw wśród obcych, a zagraniczne salony mód nie tylko chętnie zapożyczają motywów zdobniczych góralskich, huculskich, i in., ale zamawiają nawet u nas ludowe samodziały.

Wybierając się na wieś, uszyjmy sobie jedną, dwie sukienki oparte na naszych wzorach ludowych. Nie musi to być koniecznie strój krakowski albo łowicki. Te zbyt często widziane, i aż do znudzenia kopiowane, stały się niejako synonimem stroju ludowego.

Czy nie uroczo wyglądałaby Pani w fałdzistej spódnicy w barwne kwiaty, uzupełnionej białą marszczoną bluzką i szerokim kapeluszem z białego usztywnionego haftu? Jest to strój wzorowany na ubiorze wieśniaczek ze Śląska Cieszyńskiego.

Naśladować również możemy strój chłopski spod Rawicza: staniczek i spódnica z materiału w drobną kratkę biało-niebiesko-czerwoną, bluzka biała, marszczona z szeroko wyłożonym kołnierzem z haftu dziurkowanego.

Zielony — jak liść — strój spod Będzina, z białą kresą koszuli i żółtym, dużym słomkowym kapeluszem też na pewno znajdzie zwolenniczki.

O pięknie i celowości strojów z samodziału (lnu lub wełny) ozdobionych ludowym haftem lub krajkami — przekonały już nas chyba dostatecznie rewie, urządzane rokrocznie w większych miastach. Chodzi tylko o większe rozpowszechnienie tych modeli, o ciągłe — a nie trudne przecież — stałe indywidualizowanie ich. Wszakże Polska wielka, a lud bogaty w pomysły. Smutne to, że tak oryginalne i różnorodne stroje ludowe giną, a na wsi panoszy się oschły schemat miejskiej tandety.

Nie obawiajmy się „oryginalności" sukienek, wzorowanych na regionalnych strojach. To, co w mieście byłoby czasem śmiesznym anachronizmem, na wsi będzie uzasadnione. Wszakże „piękno ma tyle wyrazów, ile człowiek nastrojów."

Devette

Peggy Evans jest jedną z licznych zresztą artystek filmowych które wiedząc, że strój ludowy dodaje kobiecie dużo uroku — chętnie go noszą.

Dobrze wiedzieć, że...

● Niektóre ziemniaki — zwłaszcza w obecnej porze — po ugotowaniu brzydną: dostają czarnych plam. Aby temu zapobiec, należy do wody, w której się ziemniaki gotują, dodać kilka kropel octu. Plamy zwolna giną, a ziemniaki nie zmieniają smaku.

● Tłuszcze przechowywać należy w ciemnościach, aby zbyt szybko nie jełczały i nie gorzkniały.

Smacznego!

(1) **Chłodnik.** Litr zsiadłego mleka roztłić trzepaczką dokładnie, dodać 1/8 do 1/4 litra kwaśnej śmietany. Młode buraczki wraz z liśćmi (tzw. botwinka) gotować w niewielkiej ilości wody (po dokładnym umyciu). Garść kopru, szczypiorku, pietruszki pokrajać drobniutko i rozetrzeć w wazie z taką ilością soli, jaka jest potrzebna na całą ilość zupy. Wlać ostudzoną botwinkę, rozbite mleko ze śmietaną, włożyć parę jaj gotowanych na twardo i pokrajanych w ćwiartki, ewtl. ogórek świeży poszatkowany.

(2) **Zimna mleczna zupa z piankami.** 1 litr wrzącego z lekka posolonego i pocukrzonego mleka zaprawić 2 żółtkami i odstawić. Osobno ubić pianę z 2 białek i dodawać do niej stopniowo 6 dkg cukru. Na mleko zaprawione cukrem waniliowym i pocukrzone, kłaść kluseczki z piany i nakryć, nie dopuszczając do zakipienia. Gdy kluseczki z jednej strony naciągną, odwrócić je ostrożnie łopatką i zostawić, aż stężeją. Wówczas osączyć na sicie, płyn zlać do wystudzonej zupy i podać razem, ostudziwszy wszystko należycie. (b)

Rozpoczyna się sezon zapraw

To przesąd, że na przetwory potrzeba dużo cukru, że... „w ogóle to z tym jest dużo roboty".

Owszem, dużo — ale wtedy, gdy nie umiemy sobie jej zorganizować, wykonać planowo i systematycznie. A przetwory — nawet owocowe — niekoniecznie wymagają cukru. Wszystkie są za to skarbnicą zdrowia, pożądanym urozmaiceniem jadłospisów i oszczędnością w naszym budżecie.

Najpierw pomyślmy o tym, żeby mieć przygotowane wszystkie potrzebne naczynia — i pomieszczenie dla przetworów.

Piwnicę — jeśli ją mamy — omieść z pajęczyn, zamieść, wybielić wapnem. Półki wyszorować dokładnie szczotką — gorącą wodą z ługiem sodowym. Pożądane jest dla dezynfekcji piwnicę wysiarkować. Jeśli mamy spiżarnię, czy tylko półki w niszy od drzwi — podobnie doprowadzić je do stanu idealnej czystości.

Przy przygotowywaniu naczyń — weźmy do pomocy dzieci. Chętnie się do tego zabiorą — zapału doda im myśl o smakołykach, do których przyrządzania się przyczynią. Właśnie przy takich łatwych pracach wdrożymy dzieci do stałej pomocy domowej. Z biegiem lat praca ich stawać się będzie coraz samodzielniejsza.

Niech dzieci zgromadzą na jednym miejscu w kuchni naczynia, stosowne do robienia przetworów i niech — pod naszym okiem — pousuwają spośród nich słoje i butelki pęknięte czy z najmniejszą choćby szczerbą. A potem same już sprawdźmy całość i elastyczność krążków gumowych, nieodpowiednie usuwając.

Przyznajmy się: zdarza się nieraz, że znajdujemy u siebie słoiki zapleśniałe i brudne. Tak samo butelki. Najlepiej włożywszy je do kotła, lub głębokiej miski, zalać je do pokrycia mydlaną wodą, dodając kilka filiżanek octu. Po godzinnym moczeniu dadzą się wymyć łatwo i dokładnie. Drobno pokruszone skorupki z jajek i woda z sodą, to świetny środek do czyszczenia butelek, nawet bardzo zabrudzonych. Wodę z sodą i skorupkami wlać do butelek i odstawić na jakiś czas. Potem potrząsać butelką silnie przez kilka minut i płukać czystą wodą. Wymyły się doskonale, prawda? Najuporczywszy brud rozpuści woda z małym dodatkiem stężonego kwasu solnego. Dlaczego mycie naczyń jest takie ważne? Bo bakterie, pleśnie, grzybki, mogą łatwo przetrwać w stanie wysuszonym na niedomytych ściankach słoików czy butelek — psując nam później całą konserwę.

Dokładnie pod bieżącą wodą — lub gdy jej nie ma, w kilku wodach wypłukać naczynia i suszyć odwracając do góry dnem.

Garnki kamienne i porcelanowe (do kiszonek, marmolad itp.) wygotować w wodzie z bielidłem. Po wystudzeniu wypłukać i suszyć jak szkła.

Przy przenoszeniu do czystego pomieszczenia na przechowanie, od razu notujmy, co potrzeba na uzupełnienie naszego „stanu posiadania": ile butelek, szkieł, krążków gumowych, korków, laku.

Alathea

Zestawienie obiadów od 30. V. — 6. V. 1948

30. 5. — niedziela: zupa szparagowa, fałszywy zając z buraczkami, ziemniaki, kompot z rabarbaru.

31. 5. — poniedziałek: chłodnik (1), płucka na kwaśno z ziemniakami, sałatka z rzodkiewek.

1. 6. — wtorek: zupa jarzynowa z grzankami z chleba, kotlety z ziemniaków z sosem pomidorowym lub korniszonowym, surówka z kapusty.

2. 6. — środa: zupa z agrestu z kluseczkami, jajka w koszulkach, tarte ziemniaki.

3. 6. — czwartek: krupnik z kaszy jęczmiennej, kotlety z jarzyn w sosie szczawiowym, kisiel.

4. 6. — piątek: zupa szczawiowa z jajkiem, dorsz po grecku, ziemniaki, sałata zielona.

5. 6. — sobota: zupa koperkowa z kaszką manną (krajana), nerki w szarym sosie, ziemniaki.

6. 6. — niedziela: zimna mleczna zupa z piankami (2), sztuka mięsa, młode jarzynki, ziemniaki.

DOC. DR K. KAPITAŃCZYK

Narodziny promieniotwórczości (III)

Dnia 24 lutego 1896 roku odbywało się bardzo historyczne i bardzo uroczyste posiedzenie francuskiej l'Académie des Sciences. Czcigodna Akademia Nauk — której początków szukać należy za czasów *Colbert'a* — była i jest najwyższą instancją i autorytetem w sprawach wiedzy. Henri Becquerel*), znakomity fizyk i badacz, wygłaszał tego dnia odczyt o swych pracach. Nastrój był pełen oczekiwania, zanosiło się bowiem na ciekawy i emocjonujący wykład.

Panowie!

Przed rokiem odkrył Roentgen promienie „X". Wypompowywał on powietrze ze szklanej rury i przesyłał przez rozrzedzane gazy prądy zmienne. Interesował się przy tym ciekawymi i barwnymi zjawiskami świetlnymi, które towarzyszą przechodzeniu elektryczności przez tak rozcieńczone gazy. Zupełnie przypadkowo znalazł się w sąsiedztwie ekranik pokryty platyno-cjankiem baru. Z chwilą gdy rura próżniowa za-

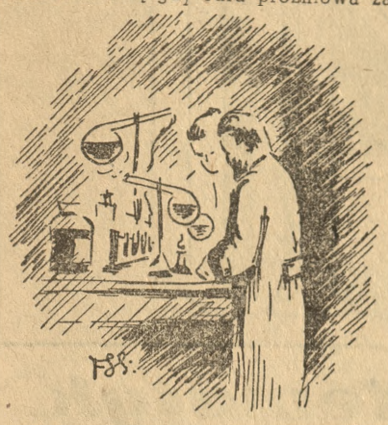

częła fluoryzować wtedy i platyno-cjanek baru, pokrywający ekran, zaczął świecić. Jak wynikało z dalszych badań Roentgena, ekran świecił pod wpływem tajemniczego promieniowania, powstającego pod wpływem uderzania elektronów o ścianki bani szklanej.

Począwszy od tego momentu zastanawiano się nad tym czy promieniowanie roentgenowskie jest zjawiskiem trwale towarzyszącym fluorescencji.

Podjęto też badania nad tym, aby sprawdzić o ile to przypuszczenie jest słuszne, zrazu bez sukcesu. Przed miesiącem zapytałem się Profesora Poincaré — który na tej to sali demonstrował promienie roentgenowskie — gdzie znajduje się źródło promieniowania „X". Wskazał on wtedy na zieloną plamkę fluoryzującą. Próbowaliśmy więc sami sprawdzić przypuszczenie co do związku między fluorescencją a tajemniczym promieniowaniem. I nasze prace nie miały początkowo powodzenia. Mieliśmy już z moją asystentką wrócić do przerwanych prac, kiedy przypadek ujawnił nam zjawisko bodaj jeszcze bardziej tajemnicze aniżeli promienie „X". Udało nam się stwierdzić, że minerały zawierające pierwiastek uran, wydzielają nieznane dotąd promienie. A właśnie związki uranu prowokują fluorescencję niektórych ciał do których je dodano. Wysyłane przez związki uranu tajemnicze promienie proponujemy nazwać uranowymi".

*

Nie jesteśmy pewni czy przemówienie Becquerel'a tak właśnie brzmiało, jak to podaliśmy. Zresztą treść jego nie wymyśliliśmy także — ale tak wyglądały fakty, o których wówczas mówił znakomity fizyk. Jest natomiast pewnym, że odczyt był na pewno sensacją naukową. Jeśli wolno wierzyć pamiętnikarzom, to entuzjazm zebranych był znaczny i szczery. Wydaje się jednak, że asystentka prof. Becquerel'a nie czuła się w zupełności przekonaną co do całkowitej słuszności wyjaśnień mistrza.

Audytorium wynagradzało rzęsistymi oklaskami odkrycie i referat. I być może, że już wtedy zrodziła się w myśli Marii Skłodowskiej — bo ona była ową asystentką — wielka idea, która dała życie Radowi-Promienistemu.

Być może także, że już wtedy zaczęła Maria przypuszczać, że uran nie jest jedynym bohaterem tajemniczego promieniowania. Wniosek ten byłby o tyle uzasadniony, że przecież uran jest pierwiastkiem tak ostatecznie nienadzwyczajnym. Na 107 lat przed pracami Becquerel'a aptekarz Klaproth odkrył ten szary, niepozorny metal. Było to w owe dni, gdy lud paryski burzył Bastylię. Nowo przez siebie odkryty pierwiastek nazwał Klaproth uranem, według imienia planety odkrytej na osiem lat przed tym przez Herschel'a. Później zajął się uranem chemik Peligot, zajęli się nim i niektórzy inni badacze. Nikt jednak nie zauważył nic ciekawego w tym metalu podobnym do żelaza. Tymczasem to co mówił prof. Becquerel, który przypisywał promieniowanie obecności uranu, byłoby czymś tak niesamowitym, tak nieoczekiwanym na tle znanych ówcześnie faktów fizycznych i chemicznych, że zapowiadało to rewolucję pojęć.

W tym też czasie zeszła się droga życia Marii z drogą Piotra Curie. Był już wówczas profesorem fizyki na Sorbonie, miał 37 lat, twarz satrapy, oczy i serce dobrego człowieka oraz 300 franków miesięcznej pensji. Tyle ile średnio wykwalifikowany robotnik. Poza tym dzięki młodości zapewne nie był zagrożony zwapnieniem. Mógł więc stać się oddanym powiernikiem rozgorączkowanej pracą młodej uczonej, a także rzetelnym i szczerym jej współpracownikiem. Dzięki swemu wybitnemu wykształceniu w zakresie fizyki był światłym towarzyszem, wnoszącym obok entuzjastycznej współpracy także i motyw rozwagi.

A tej rozwagi trzeba było wiele. Przypuszczenie, że istnieje ciało tajemniczo wiecznie promieniujące, nasuwało w konsekwencji wniosek, że musiałoby ono być wiecznym źródłem światła, elektryczności i tajemniczej siły. Poza tym wszystko co dotychczas było wiadome o budowie materii przeczyło śmiałym ideom Marii Skłodowskiej. Pierwiastek promieniujący byłby armatą, oddającą strzały bez wytchnienia. Jakże bliską była droga od tych zdawało by się szalonych wyobrażeń do snów o alchemicznym kamieniu filozoficznym i marzeń o perpetuum mobile.

Z drugiej zaś strony nasuwała się myśl, że domniemany pierwiastek promieniujący niekoniecznie musi być wieczną armatą. Być może, że byłby on produktem rozpadu, przy czym tajemnicze promieniowanie, które zauważono, mogło być zjawiskiem towarzyszącym rozpadowi. Ale też właśnie przypuszczenie, że jakiś pierwiastek rozpada się, że umiera — że w tymże momencie śmierci jednego pierwiastka rodzi się nowy — było naonczas ideą szaloną. Przed pół wiekiem nie znano pierwiastka, który by się rozkładał. A jeśli rozkładałyby się jeden, czy dwa — rodząc przy tym inne — to dlaczego nie więcej albo i wszystkie? Stary Heraklit już kiedyś utrzymywał przed wiekami, że *pantarei* — że „wszystko płynie". Zapewne, lecz tego wszystkiego przed 50 laty fizyka nie miała prawa głosić. Nic za tym nie przemawiało. Takie myśli byłyby szalonymi marzeniami dopuszczalnymi u poetów, niegodne jednak uczonych fizyków czy chemików.

W szaleństwie Marii i Piotra Curie była jednak metoda. Zdawali sobie niewątpliwie sprawę z tych wszystkich trudności, że ich pomysł doprowadzić może do jeszcze głębszych powikłań. Z tego wszystkiego wynikałoby dalej, że niepodzielność atomu wcale nie byłaby taka pewna jak to do tego czasu utrzymywano. W rezultacie zakrawało to na magię oraz oddalało pozornie od oficjalnej wiedzy.

Trzeba więc było żywej, wspaniałej umysłowości Marii Skłodowskiej i rzetelnej, a przy tym pozbawionej talmudyzmu wiedzy Piotra Curie, żeby podjęli się sprawdzenia tej idei. Ich praca i trud to jakby wyprawa w nieznane okolice, pełne rzeczywistych niebezpieczeństw i morderczej pracy. Wyprawa po magiczną formułę kruszącą atomy, fundamenty świata rzeczywistego.

Nowoczesna wiedza urzeczywistniła niejedną magię. Maria i Piotr Curie nie zrażeni wątpliwościami zdecydowali się bliżej zbadać uran — bardziej intymnie aniżeli to uczynił Becquerel — chemicznie!

*) **Antoni Henryk Becquerel (1852—1908), znakomity fizyk francuski urodził się w Paryżu, 15 grudnia 1852. Objął katedrę fizyki po swoim ojcu w Muzeum Historii Nauk Przyrodniczych w r. 1892. W roku 1896 odkrył promieniotwórczość i uzyskał w roku 1903 nagrodę Nobla wspólnie z małżonkami Marią Skłodowską i Piotrem Curie.**

Tercet Sióstr Kowalskich

Nie tylko Kraków może się poszczycić popularnym trio akademickich pieśniarek, zw. „Do - Re - Mi", również Poznań ma swój — najmłodszy w Polsce tercet Sióstr Kowalskich, znany z licznych audycyj radiowych. Najmłodszy — bo wszystkie trzy rodzone siostrzyczki liczą sobie razem aż... 51 lat: Giga — 18, (mezzosopran), Danka — 19, (alt) i Renia — 14, (sopran). Posiadając niewątpliwy talent — przy dalszej pracy samokształceniowej, kto wie czy nie zdystansują inne tercety polskie, tym bardziej, że urok młodości jest ich największym sprzymierzeńcem. (S)

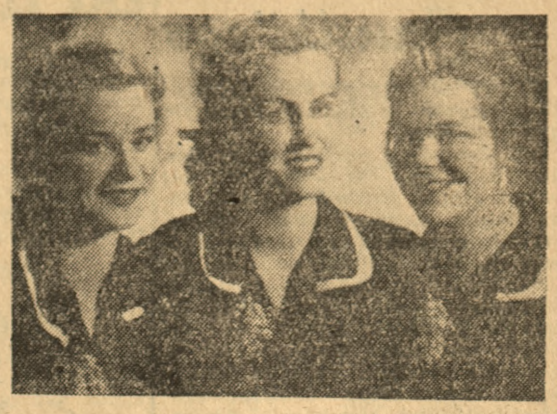

Foto „LUNA"

Wśród autochtonów Kanady

(dalszy ciąg z strony 1)

nych, artystycznych nieraz wzorach i niezwykle misternej roboty. Ponadto trudnią się wyrobem najróżnorodniejszych paciorków. Sami ubierają się przeważnie w garnitury ze skór zwierzęcych w artystycznym wykonaniu. Jeśli chodzi o nakrycia głowy, to najlepiej ilustrują je reprodukowane zdjęcia.

W wioskach rozrzuconych po okolicznych lasach i nad rzekami ludność indiańska trudni się również obok łowiectwa wyrobem galanterii drzewnej, pantofli i materiałów ze skóry. Latem łodziami zwanymi canoe a zimą na saniach zaprzężonych w psy eskimoskie wożą swe wyroby na targi do miast i miasteczek.

W wioskach tych wszyscy mają zajęcie. Toteż kobiety indiańskie, posiadające maleńkie dzieci przywiązują je wraz ze specjalną kołyską wysoko na drzewach i przez cały dzień dosłownie wiatr je kołysze.

Indianie kanadyjscy już dawno porzucili pogańskie wierzenia religijne. Przyjęli wiarę Chrystusową. Łatwiej im to przyszło niż innym ludom kolorowym, gdyż obok czci oddawanej różnym bożkom światłości i ciemności wierzyli w jednego Boga i nie obca im była idea miłości bliźniego. Na skutek przyjęcia katolicyzmu zanikły też prawie dawne piękne obyczaje. Utrzymują się tylko niektóre jak „Taniec Białego Orła" ku uczczeniu wielkiego wydarzenia lub jak to dawniej bywało jakiegoś wodza wsławionego bohaterskim czynem. Dziś taniec ten na tle potężnych drapaczy chmur lub najnowocześniejszych modeli samochodów staje się po prostu anachronizmem. Kultywowanie jednak niektórych zwyczajów świadczy, że w głębi dusz spokojnych autochtonów drzemią jeszcze wspomnienia dawnych, świetnych czasów.

Tak przynajmniej twierdzi jedyny duchowny Indianin, ks. Michael Jacobs, sprawujący duszparsterstwo w rezerwacie St. Regis i okolicznych wioskach. Na razie jest on jedynym księdzem katolickim indiańskiego pochodzenia, ale w zakładach naukowych kształci się obecnie wielu młodych kandydatów do stanu kapłańskiego. Za lat kilka do rezerwatów, wiosek i osiedli w głębi puszczy

Prawda, że jestem piękna? — zdaje się mówić do nas ta młoda Indianka. Podczas gdy moje białe siostry malują sobie usta, brwi i rzęsy oraz ondulują włosy, ja maluję sobie całą twarz. Wyglądam jak wielkanocne jajko, słynna polska „pisanka", do tego dochodzi tatuaż i wtedy będę się podobać memu ukochanemu. Taki to już u nas odwieczny zwyczaj — mój biały panie. Nic tu nie zrobi nawet Father Michael — choć burczy i wymyśla.

dotrą czerwonoskórzy księża, którzy znając lepiej od białych psychikę swego ludu, będą mogli skutecznie walczyć z tym wszystkim, co lud ten degeneruje i skazuje na wymieranie.

Ks. Jacobs jest niezwykle rozmowny. Opowiada przy tej okazji wiele anegdot z życia Indian, mówi o wielu krzywdach doznanych od białych przybyszów, o wycinaniu w pień całych wiosek indiańskich. Gdyby nie te straszne metody pierwszych osadników europejskich, Kanada nie byłaby dziś krajem bez ludzi. Mogłaby rozbrzmiewać gwarem ludnych wiosek i miast od Labradoru do Alaski i od Wielkich Jezior do Bieguna.

Może i masz rację czcigodny księże — mówię i zabieram się do odejścia.

Na pożegnanie ks. Jacobs wręcza mi swoje najświeższe zdjęcie w sutannie i w typowym indiańskim nakryciu głowy — z krzyżem w jednej i z mszałem w drugiej ręce.

Kazimierz Martynowski

Dla każdego coś ciekawego

Najpierw dla **palaczy**, jako, że ich jest najwięcej.

Czy wiecie, że pierwsze nasienie tej rośliny popularnie tytoniem zwanej, przysłał poseł Uchański z Konstantynopola Annie, siostrze Zygmunta III w 1590 roku. Encyklopedysta **Gloger** pisze, że w bibliotece Załuskich, był zielnik, po tej właśnie Annie i w nim znajdował się liść tytoniu! Wiadomość godna, tak skrupulatnego zbieracza, jak właśnie Gloger.

Polacy przyjęli palenie tytoniu od Turków, również jak wyraz tyton, a zażywanie tabaki wzięli od Francuzów i Niemców.

Jakób I król angielski, wydał dzieło w 1619 pt. **„Nizokapnos"** przeciw tabace i egzemplarz jego przysłał Zymuntowi III.

O tabace mówi **Haur** w swej **„Encyklopedii Ziernińskiej"** z drugiej połowy XVII wieku: „gęsto tych czasów i dość ustawicznie, różnego stanu ludzie, zażywać chcieli się tabaki, czyli proszku francuskiego do nosa, nawet też i damy tego wieku zażywają".

Adam Jarzemski opisując Warszawę w r. 1643, wspomina, że w ogrodzie Królewskim rośnie sławna zieleń, zwana tabaką, a sejm z 1661 roku, uznał tytoń za nieszkodliwy zdrowiu.

Za czasów saskich, w Warszawie, pewna Włoszka z Syrakusy wyrabiała tabakę, którą nazwano syrakusaną. Była to tabaka w ziarnach z dodatkiem lavendy lub olejku pomarańczowego. **Mickiewicz** w „Panu Tadeuszu" wspomina, że paulini częstochowscy wyrabiali sławną tabakę, którą duchowieństwu na cały kraj dostarczano. W XVIII wieku nałóg zażywania tabaki ogarnął wszystkich, nałóg zaś palenia tylko niektórych W monitorze jednak, za Stanisława Augusta czytamy już:

„Słodka rozrywka w cichym pokoiku,
Kochana fajko, tlący się piecyku..."

Wiek XIX upowszechnił palenie tytoniu w całym społeczeństwie, ale palenie tytoniu w fajkach znane było już za czasów Sobieskiego, który wypalał fajkę po obiedzie

W dziele Bermanna „Stary i nowy Wiedeń", czytamy: Gdy graf Starhemberg (u którego Sobieski gościł) podał Sobieskiemu fajkę, Sobieski rzekł: — Zdobyłem w obozie Kara Mustafy fajkę dużą, a ponieważ Turcy nie przychodzą jej odbierać, więc zechciej pan przyjąć moją, na pamiątkę tej gościnności z jaką mnie podejmowałeś. — Potem fajkę tę ofiarował Starhemberg miastu, które znów z kolei ofiarowało ją w 1809 r. generałowi Qudinot (Francuzowi).

Potem dla **pijaków**, bo ich jest niestety dużo...

Czy wiecie, że akwawit — z łac. aqua vitae, tak nazwana, że przedłużać miała życie, wynaleziona została w XIV wieku w Niemczech. Historyk **Bratkowski** w końcu XVII wieku tak pisze:

„Jak gościa przywita,
Zaraz na stole, piwo, akwawita".

W Polsce, przyjęła ona nazwę gorzałki. **Krasicki** bowiem w „Panu Podstolim" napisanym w XVIII wieku mówi: „Te trunki, które ojcowie nasi poprostu nazywali gorzałką, potem wódką, teraz ochrzciliśmy likierami".

W XVII wieku, przytacza **Haur** taką naiwną anegdotkę, mającą tłumaczyć pochodzenie nazwy tego trunku. — ‚Pewien człowiek, Ka nazwany doszedł sekretu palenia gorzałki; potem przez zbyteczne jej zażywanie zajęła się w nim gorzałka, tak, że zgorzał, a stąd (zgorzał Ka) gorzałka ma mieć swoje nazwisko".

W Polsce znane były gorzałki; alembikowa szumówka, i od zapraw rozmaitych: korzenna, cynamonka, karolkowa czyli kminkówka, piołunówka, anyżówka, a wreszcie i na tatarak nalewana — tatarówka. Sprowadzano wódki włoskie, francuskie, rumy i araki. Doskonała też była wódka gdańska, w której paseczki srebrnego papieru pływały.

Gdy zaczęto wódki zaprawiać cukrem, powstały esencje i likwory licznych gatunków: miętowe, różane, pomarańczowe, wiśniowe czyli ratafii. Za Augusta III płacono za kieliszek ratafii po tymfie.

Wódki różnych gatunków stanowiły podstawę apteczki domowej, gdzie były pod kluczem „jej mościowym" a w większych domach pod dozorem i kluczem „panny apteczkowej". W domach szlacheckich trudniły się przepędzaniem wódek przez alembik, (rodzaj naczynia miedzianego, przez które jeszcze w połowie XIX wieku oczyszczano gorzałkę, a wódka tym sposobem oczyszczona nazywała się alembikówką i służyła na nalewki i do zapraw rozmaitych) — i zaprawianiem wódek — żony.

Poza tym wybór wódek dozwolony był miastom za przywilejami królewskimi. W XVIII wieku rozpowszechniły się gorzelnie. Zamożniejsi mieli do podróży puzdra z przegródkami, w których 4—8 flaszek wódki mieścili. Cytowany już, Bratkowski w XVII w. pisze:

„Flaszki frant jeden w puzderku zamykał,
a co minutę odmykał i łykał".

a **Józef Torzewski** w książce drukowanej w 1785 roku w Berdyczowie pt. **„Rozmowa o sztukach robienia szkła"**: pisze „Przy hucie chować (tj. mieć) stolarza i ślusarza, żeby puzdra robili, piękne".

Encyklopedysta **Gloger** dodaje, że sam widział takie puzdro z 1767 roku z napisem „Pilnuj i zamykaj".

Jak widać z tego, nasi pradziadowie też niezgorzej sobie „pociągali!"

Również i dla paskarzy bo i ci w naszym grodzie się „trafiają" jest lektura.

Nie tylko bowiem obecnie, ale i kiedyś przed wiekami Rząd Rzeczypospolitej czuwał nad cenami. Do marszałków wielkich koronnych, należał obowiązek ogłaszania taksy na wyroby i towary w codziennym handlu będące. Ten urzędowy cennik maksymalny, zasłaniał ogół przed nadmierną drożyzną i wyzyskiem. Taksy dawniej pisane, potem w wieku XVIII drukowane, rozlepiano po grodach i ratuszach. Jeden z takich cenników (których ustanawianie należało do wojewodów) z roku 1573 ogłosił **Niemcewicz** w „Zbiorze pamiętników o dawnej Polsce".

Ciekawa jest (w porównaniu z naszymi „wyrazami") taksa dla rzeźników warszawskich, którą podajemy w skróceniu

„Taksa dla rzeźników marszałkowska koronna". Działo się na Ratuszu miasta Starej Warszawy dnia 7 miesiąca stycznia 1793 roku

Taxa mięsa z wołu przedniego:
Funt mięsa płacić się ma 7½ groszy.
Baraniny od lepszego barana 8 gr.
Słoniny taflowej świeży, funt 20 gr.
Szynki przednicy 12 groszy funt.

Na Wolnicy zaś funt mięsa groszem jednym taniej sprzedawać się mają.

Za czasów **Zygmunta I** w 1524 roku wydano w Krakowie ustawę regulującą ceny na korzenie. I tak np.:

Funt pieprzu po groszy 8.
Kamień cukru za półtrzecia złotego itd.

Najtańszą okazją były wina bo:

Wina ziemskiego węgierskiego kwarta, najdrożej grosz ma być płacona. **Łukaszewicz** w „Obrazie miasta Poznania" przytacza ceny przedmiotów spożywczych i tak:

Gęś kosztowała wtedy 4 grosze.
Zając — 8 groszy.
Jaja kopa — 6 groszy.
Masła funt — 2 grosze.

Wiedzieć jednak trzeba, że wówczas nie znano jeszcze w Polsce groszy miedzianych, tylko srebrne, a gdy za Sasów grosz spadł do wartości miedzianego, to już potem płacono więcej bo.... bo funt wołowiny 6 groszy itp.!

Za czasów Augusta III Sasa, reduty odznaczały się „drogością" bo szklanka herbaty 12 groszy, a kolacja z gorących potraw kosztowała od osoby po dukacie.

KAZIMIERA TOPIŃSKA

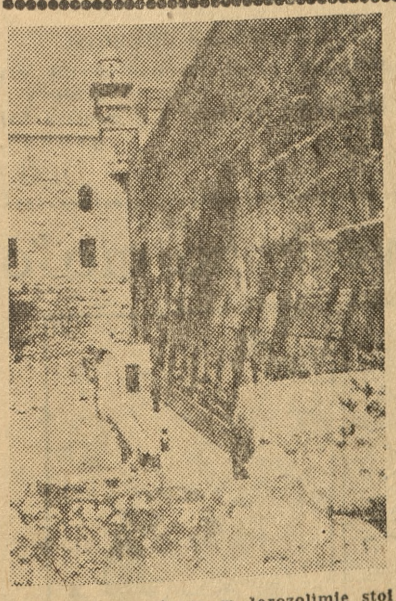

Pod ścianą płaczu w Jerozolimie stoi warta arabska
Fot. Ag. Ilustr. „API"

Wielkość Gandhi'ego

W dwa miesiące po śmierci Gandhi'ego powstał w Indiach niezwykle żywy jego kult.

Kult Gandhi'ego ogarnął piątą część rodu ludzkiego. Wywołał w niej wstrząs sumień ludzkich. Prasa hinduska notuje liczne wypadki śmierci wskutek głębokiego wstrząsu nerwowego. Kult ten ogarnął kraje od gór himalajskich do Kap Comorin w południowym końcu Indii. W ciągu pierwszych dwóch tygodni po jego śmierci cała prasa hinduska nie zamieszczała żadnych wiadomości ze świata zewnętrznego. Dla Hindusów przestały istnieć zagadnienia międzynarodowe i wypadki w całym świecie. Pisma zamieszczały wyłącznie materiał poświęcony Gandhi'emu. Bardzo często pierwsze stronice najpoczytniejszych pism hinduskich miały tylko słowa: „Ojcze, przebacz nam". Tytuły artykułów były następujące: „Największy człowiek od czasów Chrystusa", „Szedł obok Boga". „Budda i Gandhi — zdumiewająca parabella', albo „Największy Bóg-człowiek w czasach nowożytnej historii".

Gandhi nazywany jest ostatnio Kalki, tj. dziesiątym wcieleniem Avatara, gdy Budda był dziewiątym wcieleniem Avatara. Należy zaznaczyć, że w mitologii hinduskiej zapowiedziane było przyjście na ziemię Kalki dla zniszczenia siły Zła. Chociaż Gandhi uważał siebie za zwykłego człowieka, kult, który szerzy się obecnie w Indiach, stara się uczynić z niego świętego. Mnożą się z dnia na dzień projekty i sposoby uczczenia jego pamięci. Niemal każde miasto, każde zrzeszenie chce na swój sposób uczcić tego wielkiego męża Indii. Powstał m. in. projekt zmiany nazwy kraju, gdzie żył i pracował Gandhi. Kraj ten, który od 23 wieków miał nazwę Indii, ma otrzymać nazwę Gandhia.

Dalej istnieje projekt nadania górze Mount Everest nazwy Mount Gandhi, aby himalajską wielkość tego człowieka przedstawić wśród ludzi symbolicznie. Najdłuższa droga Indii, idąca od Kalkuty do Peschawaru, ma otrzymać nazwę drogi Gandhiego. Dotychczasowe pozdrowienie narodowe „Jai Hind" (zwycięstwo dla Indii) zamienione już zostało na „Jai Gandhiji" (zwycięstwo Gandhi'ego). Rząd Nepalu ze względu na szczególne zamiłowanie Gandhi'ego do kóz wydał zakaz uboju kóz w całym państwie i uznał je za święte zwierzęta.

W kołach uczonych Indii Gandhi uważany jest za pierwszego syntetyka wszystkich religij i za twórcę nowego wyznania. W książkach do modlitwy, opracowanych przez Gandhi'ego znajdują się cytaty z ksiąg religijnych wszystkich wielkich religij świata. Dla zadokumentowania jego wszechogarniającego religie świata umysłu rząd Indii postanowił wznieść nad brzegiem jeziora w Kaszmirze obok siebie świątynię hinduską, meczet mahometański i kościół katolicki, w których odprawiane byłyby nieustanne modlitwy.

Podczas gdy premier Indii Pandit Nehru i jego zastępca Sardar Patel oraz inni wybitni przywódcy narodu Indyj starają się osiągnąć harmonię pomiędzy wyznaniami rozpowszechnionymi w tym kraju, a zwłaszcza między Mahometanami i Hindusami i w ten sposób uczcić pamięć Gandhi'ego, ludność na swój sposób obmyśla jak najwybitniej przyczynić się do złożenia hołdu swemu wielkiemu człowiekowi. Gromadzony jest więc fundusz do wydania w głównych językach świata nauk wygłaszanych przez Mahatmę Gandhi'ego.

Pamiątki pozostałe po Gandhim, a więc jego zegarek okulary, kubek do picia mleka, łyżka i talerz do ryżu uznane są za relikwie narodowe. Dwie małpki, ulubienice Gandhi'ego, znajdują się pod specjalną opieką utworzonego w tym celu specjalnego komitetu hinduskiego. Wagon kolejowy III klasy, którym przewiezione zostały prochy Gandhi'ego z Delhi do Allahabad, uznany został za pomnik narodowy. Jak wiadomo, prochy Gandhi'ego przewiezione w miedzianej urnie, wrzucone zostały z zachowaniem wielkiego ceremoniału do świętych rzek Gangesu i Jumna. W czasie tej uroczystości odczytywane były modły ze świętej księgi Hindusów Gita z księgi Sikhów Guru Granth Saheb, z Koranu i z Biblii. Jako przykład wpływu Gandhi'ego można przytoczyć fakt, że w mieście Madras w sądzie po śmierci Gandhi'ego rozpatrywany był odwieczny spór pomiędzy dwoma plemionami hinduskimi. Wszelkie propozycje kompromisowe, proponowane przez sędziów, obydwie strony odrzucały. Gdy tym razem wyrok wydany przez sąd nie został uznany przez żadną z stron, przewodniczący sądu wniósł na salę portret Gandhi'ego i kazał obydwu stronom spojrzeć w oblicze Gandhi'ego i zastanowić się, czy Gandhi pochwaliłby ich wrogość wzajemną. Obydwie strony po krótkim namyśle uklękły przed portretem Gandhi'ego i przyjęły wydany wyrok w pokorze.

(h. b.)

Za miastem jest pięknie

Wiosna. Pogodne popołudnie. Miasto zostało daleko w tyle. A oni idą wolnym spacerowym krokiem chłonąc czyste wiejskie powietrze. Ona — istota subtelna, typ marzycielki, taka którą wzrusza do łez skrzyp trawy deptanej brutalnie przez buty. On, jak przystało na mężczyznę — realista. Patrzy na świat trzeźwo. Studiował ekonomię.

Oboje zakochani. Śmieją się do świata, a świat z nich. Są tacy szczęśliwi!

— Zobacz, kochany, jak pięknie faluje to zboże. Ile w tym kolorytu, ile miękkości, ile...

— Ciekawym, ile też kwintali ziarna wydaje tutaj 1 ha? To byłoby interesujące.

— Co za wspaniałe modraki w życie. Poczekaj zerwę sobie kilka.

— Skandal, żeby tak zachwaścić pola.

— Wiesz, kiedy widzę modraki, przypomina mi się kolor Twoich oczu...

— Chłopi — dranie mogliby więcej dbać o swoją rolę. Jeżeli zachwaścimy ziemię, jak będą wyglądały nasze zbiory? Za dużo w Polsce chleba nie ma.

— Krowy!

— Gdzie?

— O tam, na lewo w dolinie. Wszystkie łaciate. Pięknie to wygląda na tle zielonej łączki, prawda?

— Acha, dobrze, że mi przypomniałaś. Czy dostałaś wczoraj masło w Spółdzielni?

— Owszem. O, nawet cielątko też jest.

— Po ile?

— Jak zwykle. Ale pastucha jakoś nie widać.

— Mogłoby wreszcie stanieć. Gdzie spojrzeć pełno bydła, stan pogłowia wzrasta z roku na rok, a tymczasem...

— Bocian! Widzisz bociana?

— Poczekaj. Ile to wyhodowaliśmy sztuk bydła w roku 1947? Mówiłem Ci kiedyś.

— Nie pamiętam. Ten bocian zupełnie nie zwraca na nas uwagi.

— Tak, przypominam sobie. Same majątki państwowe wyhodowały 245 tys. sztuk...

— Bocianów?

— O jej, Nina, nudna jesteś. Przecież mówimy o bydle. Zobacz, to bydle połknęło dwie żaby od razu.

— Ach, biedne stworzonka. Tak mi ich żal...

— No, no nie płacz. Jest ich na tej łące aż za dużo. O czym znów myślisz?

— Chciałabym być na tej łące kwiatem. Zobacz, kochany, jak tu pięknie. Całe życie żyć wśród tego świeżego kwiecia...

— Ale tu wilgoć, Kotusiu! Przecież to podmokły teren. Wiesz przecież, jak jesteś wrażliwa na przeziębienie. Swoją drogą, dlaczego ci chłopi nie drenują łąk? Wyrzuca się miliony na inne głupstwa, a o melioracji gruntów nawet pies nie pomyśli.

— Gdzie pies?

— Nie ma żadnego psa. Zając tam pod lasem, widzisz?

— Tak. — Czy to jest las iglasty, czy szpilkowy?

— Sama zobaczysz, jak dojdziemy. Z pewnością mieszany.

— Nie masz pojęcia, jak ja lubię las, a Ty?

— Strasznie. Mój wujek miał przed wojną kilkaset ha lasu. Powiadam Tobie, ten zrobił interes na drzewie! Wagonami odstawiał...

— Zobacz, co to za dziura?

— Tu lis ma norę.

— Co to znaczy po polsku?

— Mówię wyraźnie: lis ma tutaj swoją norę.

— Naprawdę? Więc to jest — lisie gniazdo?

— Ale gdzież tam, od kilku dni już idzie „Dom pod Oświęcimiem".

— Nie lubię domu. Żyję tylko lasem.

— Owszem z lasu można żyć. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że oprócz zwierzyny las jest wielkim producentem, wszelkiego rodzaju jagód, nie mówiąc już o grzybach, które przy sprzyjającej pogodzie rosną w lesie jak grzyby po deszczu. Czy nie uważasz, moja droga, że moglibyśmy...

— Usiąść pod tą rozłożystą sosną?

— ... że moglibyśmy eksportować grzyby za granicę i zdobywać w ten sposób cenne dewizy?

— Oczywiście. Może jednak spoczniemy.

— Nie powinniśmy spocząć, dopóki nie wyzyskamy całkowicie wszystkich bogactw naturalnych kraju. Moim zdaniem jesteśmy w tego rodzaju sytuacji gospodarczej, że...

— Pozwól, że Ci przerwę. Chyba wrócimy, co?

— Do przedwojennej gospodarki? Przenigdy. Naszym zadaniem jest naprawić błędy tamtego okresu.

— Już późno, kochany.

— Nigdy nie jest na to za późno. Trzeba zrobić wszystko, ażeby...

— Patrz, słońce zachodzi. Ten zachód jest naprawdę wspaniały.

— Nie powinniśmy się oglądać na Zachód. To nas zawsze drogo kosztowało. Żyjemy dziś w innych czasach, które...

(W drodze powrotnej)

— Prawda, że była to śliczna przechadzka? Opaliłeś się trochę. Jesteś taki dziwnie uroczy! Taki... wiosenny!

— Wiosenny? Nie. — Senny. Szczęście, że już niedaleko do domu.

— Kocham Cię. Czuję, że mogłabym z Tobą iść na koniec świata...

— Dobrze. Pojedziemy tramwajem, czy przejdziemy się pieszo?

MIK

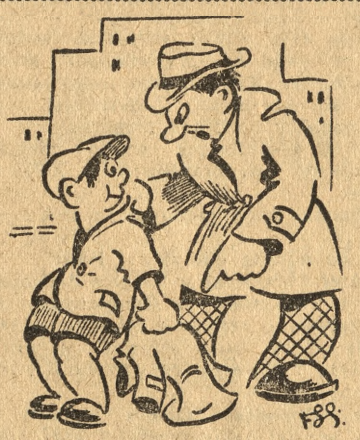

— Masz tak zacnego ojca. Nie pomyślałeś o nim kradnąc ten płaszcz?

— Skąd znowu? Przecież ten płaszcz byłby dla ojca za ciasny.

Witold Degler

FRASZKI

Ostrożna

— Panno Halino, wyjedziemy na wieś —
ja tutaj w mieście duszę się i dławię.
— Panie Stefanie, już ja miasto wolę:
boję się, że mnie na wsi pan — wywiedzie w pole...

Przestawanie

Bardzo czule się kochali,
ale pointa jest ta:
długo z sobą przestawali —
aż nagle on przestał...

Na ciemności w pociągach

Za światła brak w pociągach
publiczność PKP gani —
tylko z ciemności się cieszą
złodzieje i zakochani.

Fraszkopis

Piórem wyczynia igraszki
na nice wywraca słowa
a każdy koniec fraszki
to jego... pointa Achillesowa!

Z teki karykaturzysty

Stefan Barański — kapelmistrz Opery Poznańskiej, który 22. V. br. obchodził jubileusz 40-letniej pracy artystycznej.

Mały matematyk

Znakomity matematyk francuski Henryk Poincaré (1854—1912) był leniwym uczniem, aczkolwiek od najmłodszych lat wyróżniał się bystrością matematyczną. Pewnego razu, gdy nie odrobił lekcji nauczyciel powiedział do niego ironicznie:

— Ach tak. Nie napisaliśmy dziś ćwiczenia. Wobec tego będziemy musieli na jutro przepisać tę stronę 10 razy.

Nazajutrz mały Henio podał nauczycielowi swój zeszyt.

— Jakto, przepisałeś tylko 5 razy, gdzie reszta?

— Panie profesorze — odpowiedział mały matematyk — pan powiedział wyraźnie: „będziemy musieli przepisać 10 razy". Ja swoją połowę odrobiłem, reszta należy do pana.

— Może pan nastroi tylko dwie środkowe oktawy... Córka zaczyna się dopiero uczyć...

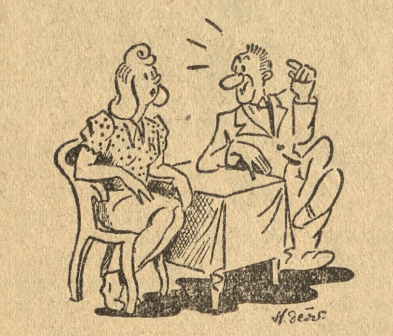

— Czy farbowanie włosów jest niebezpieczne?

— Nawet bardzo, mój wujek dał sobie uczernić włosy i... w miesiąc potem się ożenił...

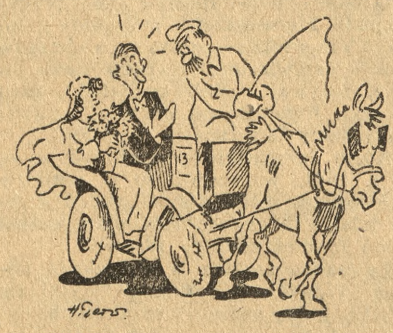

— Panie dorożkarzu!... Prędzej tam!!!

— Jo tak do ślubu zawsze... może się jeszcze pan rozmyśli i każe zawrócić?

Żona: — Więc kupisz mi ten pierścionek czy nie!

Mąż: — Czy to ultimatum?

Żona: — Nie, to szmaragd.

— Co za śliczną suknię ma pani.

— Dostałam ją na urodziny, gdy skończyłam 20 lat.

— Ma pani szczęście, że takie suknie są znów modne.

Fraszki

Bridge i malarstwo

Ktoś nazwał mistrza Picassa
w malarstwie największym asem.
Ja bym go nazwał bridge'owo
po prostu — P i k — a s e m!

Fraszka na boksera

Grog(g)u przed meczem wypił dla ochłody
otrzymał „prostego" i z miejsca był g r o g g y.

TYSKI

Nie skacz tak śmiało — gdy wody za mało

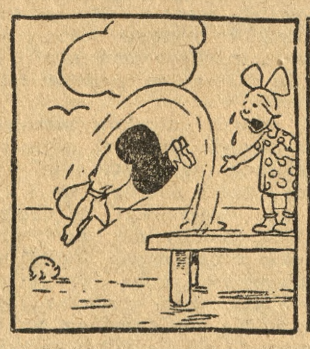

Katastrofa oto nagła:
Lalka w wodę dziecku wpadła.

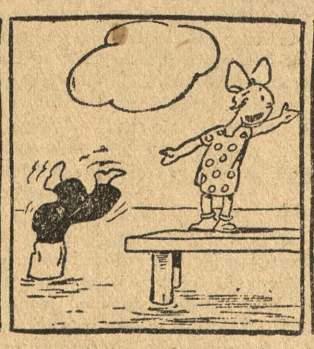

Jeszcze większa awantura,
Kiedy Śliwka daje nura.

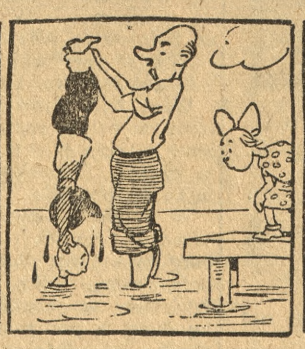

Błota dużo, mało wody —
Stąd przyczyna tej przygody

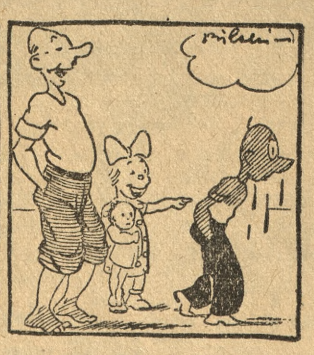

Mułem cały się zabrudził,
Musi uciec więc od ludzi,